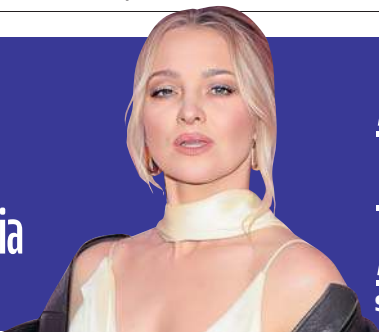


Informacje z Łodzi, regionu, kraju i ze świata • Krzyżówki • Horoskop • Plotki, ciekawostki

MAGAZYN

• 3 miliony złotych odszkodowania za 8 miesięcy aresztu! STR. 2



**BARBARA KURDEJ-SZATAN:
- DLA MNIE KAŻDĄ ROLA
JEST BARDZO WAŻNA**

STR. 16-17

• Tego jeszcze nie było! Znany łódzki adwokat Paweł Kozanecki ścigany jest listem gończym!

STR. 10

EXPRESS

ilustrowany



**OD NIECZYTANIA
DO ZACOFANIA**

• Dziś w Polsce tylko połowa rodziców czyta swoim dzieciom STR. 12-13

**W CZORAJ ROZPOCZĘŁY SIĘ KONSULTACJE SPOŁECZNE
W TEJ SPRAWIE. UCHWAŁA MOŻE WEJŚĆ W ŻYCIĘ ZIMA**

STR. 4

ZAKAZ NOCNEJ SPRZEDAŻY ALKOHOLU W CAŁEJ ŁODZI?

FOT. WIKIMEDIA COMMONS, SYLWIA DĄBROWA, 123RF

PIENIĄDZE



**CO MA ŁÓDZKA
WŁADZA?** STR. 8

FOT. GRZEGORZ GAŁĄSIŃSKI

WYSTAWA



**WICEK I WACEK
W EC1** STR. 7

FOT. MAT. CENTRUM KOMIKSU, MAT. PRASA, MARIUSZ KAPALA



**ZIELONA GÓRA
- SNOOKEROWA
STOLICA
POLSKI** STR. 20-21



TURYSTYKA



**LITEWSKIE ATRAKCJE
KUSZĄ POLAKÓW** STR. 24 - 25

MOTORYZACJA



**LUKSUSOWE
JAK FERRARI** STR. 28

EXPRESSOWO

EXPO ŁÓDŹ Targi motoryzacyjne

● W ten weekend w Hali Expo Łódź odbędzie się wiosenna edycja Łódzkich Targów Motoryzacyjnych – ŁO!MOT! Spring. Przez dwa dni będzie można oglądać nietypowe samochody: m.in. tunigowane, z czasów PRL, amerykańskie, pokazowe czy klasyki. Nie zabraknie wystawców zajmujących się sprzedażą akcesoriów motoryzacyjnych systemów audio czy detalingiem (kompleksowym czyszczeniem, pielęgnacją i renowacją aut). Targi mają mieć charakter zlotu i być miejscem spotkań miłośników motoryzacji w różnym wieku. ŁO!MOT! Można odwiedzać w piątek i w sobotę w godz. 10-18, w niedzielę od godz. 10 do 16. Bilet wstępu kupiony online na piątek lub niedzielę kosztuje 34,90 zł, na sobotę 40 zł.

(MT)

UNIwersYTET ŁÓDZKI Kiermasz roślin

● Charytatywny kiermasz roślin pod hasłem „Weź roślinkę - nakarm psinkę...i kotka też” organizuje w tym tygodniu Wydział Biologii i Ochrony Środowiska Uniwersytetu Łódzkiego. Pracownicy wydziału przygotowują i wystawiają na kiermaszu rośliny, które wydają w zamian za karmę lub datki na rzecz organizacji zajmujących się bezdomnymi zwierzętami. W tym roku datki trafią do Stowarzyszenia TPZ Arkadia w Głownie i Fundacji Azyl z Łodzi. Dodatkowo kiermasz wsparła też łódzka palmiarnia, która przekazała unikatowe sadzonki. Kiermasz można odwiedzić jeszcze dziś w godz. 10-17, odbywa się równolegle w budynku A (ul. Banacha 12/16) oraz budynku D (ul. Pomorska 141/143). Można przynieść własną roślinkę, karmę dla

zwierząt, przesłać Blika lub wrzucić datkę do puszki na miejscu. (MT)

START Moto Weteran Bazar wiosną

● Przed nami wiosenna edycja Moto Weteran Bazaru. Popularna impreza dla miłośników motoryzacji, kolekcjonerów i hobbystów odbędzie się na stadionie Start. Moto Weteran Bazar to okazja do obejrzenia i zakupu gadżetów motoryzacyjnych, odzieży dla motocyklistów, zabytkowych samochodów, starych motocykli, a także różnych przedmiotów dla kolekcjonerów. To także okazja do rozmów z hobbystami i miłego spędzenia czasu na świeżym powietrzu. W sobotę i w niedzielę, 9 i 10 maja, na terenie stadionu KS Start przy ul. Świętej Teresy 56/58 pojawi się kilkaset stoisk handlowych oraz strefa gastronomiczna i zaplecze sanitarno-medyczne. Klienci mogą odwiedzać giełdę w sobotę od godz. 9 do 20 oraz w niedzielę od godz. 9 do 15. Bilet wstępu jednodniowy kosztuje 20 zł, dwudniowy 30 zł, dzieci do 14 lat na teren giełdy wchodzi bezpłatnie. Kolejne edycje Moto Weteran Bazaru zaplanowano na 27-28 czerwca oraz na 12-13 września. Moto Weteran Bazar to jedno z największych i najbardziej rozpoznawalnych wydarzeń w Polsce poświęconych zabytkowym motocyklom, samochodom oraz historii techniki. Cykliczna impreza od lat przyciąga tysiące pasjonatów, kolekcjonerów oraz wystawców z kraju i zagranicy. (MT)

Dostał 3,2 mln zł odszkodowania za 8 miesięcy niesłusznego aresztu

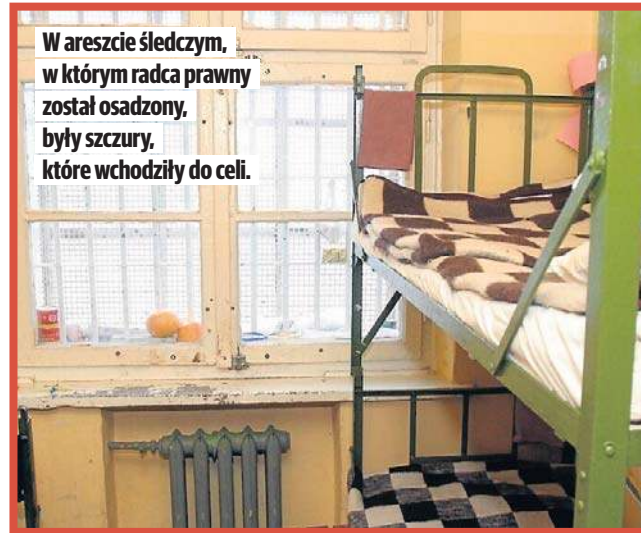
3,2 mln zł odszkodowania i zadośćuczynienia przyznał Sąd Okręgowy w Łodzi radcy prawnemu, który spędził w areszcie 8 miesięcy.

Liliana Bogusiak-Jóźwiak

Mężczyzna był oskarżony o pedofilię, a sąd prawomocnym wyrokiem uniewinnił go od tego zarzutu.

To finał głośnej kilka lat temu sprawy. Wicedziekan jednej z Okręgowych Rad Radców Prawnych w Polsce został zatrzymany w pracy - skuty i wprowadzony w kajdankach z urzędu. Sąd zastosował wobec niego tymczasowe aresztowanie.

- Był przerażony, miał świadomość, jak w areszcie traktowane są osoby zatrzymane z powodu takich zarzutów, jakie mu postawiono - zwrócił uwagę Sąd Okręgowy w Łodzi wydając wyrok w sprawie o odszkodowanie i zadośćuczynienie, którą powód skierował przeciwko Skarbowi Państwa, Sądowi Apelacyjnemu w Warszawie. - Początkowo obawiał się, że współosadzeni mogą mu coś zrobić (...) Bardzo często był poddawany kontroli osobistej, podczas której musiał się rozbiierać do naga i kucać. Zdarzało się, że funkcjonariusze wprost mówili, iż wiedzą z powodu ja-



FOT. KRZYSZTOF SZYMczAK

kich zarzutów przebywa w areszcie.

W areszcie śledczym, w którym radca prawny został osadzony, były szczury, które wchodziły do celi przez styropianowe ścianki. Osadzony przez 7 miesięcy mógł kontaktować się jedynie z obrońcami. Choć został osadzony w czteroosobowej celi dla niepalących, to jeden z współosadzonych palił. Strażnicy zwracali się do niego na „ty”, ale on musiał

mówić do nich „pan”. Jeden ze strażników wymagał, aby osadzony mu się kłaniał.

O jego zatrzymaniu i powodach, z jakich trafił do aresztu wiedziało wiele osób. Spotkał się z ostracyzmem w środowisku zawodowym. Gdy przebywał w areszcie pracodawca rozwiązał z nim stosunek pracy, stracił klientów swojej kancelarii, został także tymczasowo zawieszony w wykonywaniu zawodu radcy prawnego. Na-

wet, gdy dwa lata później został prawomocnie uniewinniony, to niektórzy uznali, że skoro miał postawione zarzuty „coś musiało być na rzeczy”.

Przez pierwsze siedem miesięcy w areszcie mógł się kontaktować tylko z adwokatami. Tymczasowy areszt uchylono mu dopiero po ośmiu miesiącach. Rok później został uniewinniony od zarzutu pedofilii. Został prawomocnie uniewinniony przez Sąd Apelacyjny dopiero po blisko 3 latach od opuszczenia aresztu śledczego.

- Odszkodowanie i zadośćuczynienie przysługuje osobie, wobec której zastosowano tymczasowe aresztowanie w sposób oczywiście niesłuszny - napisał Sąd Okręgowy w Łodzi w uzasadnieniu wyroku.

Sąd szacując odszkodowanie dla radcy prawnego wziął pod uwagę jego średnie dochody z 10 miesięcy przed aresztowaniem i liczbę miesięcy, przez które tymczasowo aresztowany nie wykonywał swojego zawodu. Dało to kwotę 1 mln 369 tys. zł. Sąd Okręgowy w Łodzi przyznał powodowi również 1,8 mln zł zadośćuczynienia.

W schronisku nazwali ją „Bajeczka”

W środę do schroniska dla zwierząt trafił bardzo młoda kotka, który został znaleziony na ulicy Przędzalnianej. Ma około 5 tygodni i waży pół kilo. Osoby, które chciałyby ją przysparzyć mogą dzwonić na numery: 724 402 447, 785 500 377 i 501 437 232. (JM)



FOT. SCHRONISKO ŁÓDŹ

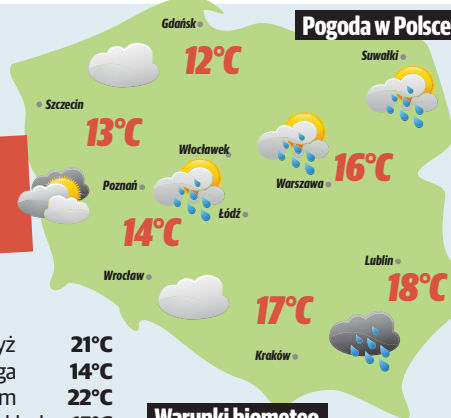
Temperatura w Łodzi

dzień **14°C**
noc **8°C**

Zachmurzenie umiarkowane, miejscami przelotny deszcz.

Dzisiaj w Europie

Ateny	21°C	Paryż	21°C
Berlin	16°C	Praga	14°C
Bruksela	19°C	Rzym	22°C
Dublin	13°C	Sztokholm	15°C
Helsinki	11°C	Wiedeń	13°C
Londyn	20°C	Wilno	10°C
Madryt	20°C	Zagrzeb	21°C



Warunki biometeo

TAKIE SOBIE

Pogoda dla Łodzi na trzy dni

Sobota
dzień **16°C**
noc **4°C**

Niedziela
dzień **20°C**
noc **8°C**

Poniedziałek
dzień **19°C**
noc **8°C**

Zielona Łódź

SPACER WZDŁUŻ ŁÓDZKI

Zielona Łódź zaprasza w niedzielę na spacer wzdłuż rzeki Łódki. Uczestnicy przejdą od Manufaktury przez park Staromiejski, Helenów aż do parku Ocalałych. Spacer poprowadzi przewodniczka po Łodzi Justyna Tomaszewska. Spacer jest bezpłatny i nie wymaga zapisów. Zbiórka o godz. 12 pod główną bramą Manufaktury od strony ulicy Ogrodowej. Wycieczka potrwa około dwóch godzin. (MT)

REKLAMA 0011496686

Łódź, ul. Inflancka 52, www.kmmokno.pl
tel. 42 659 99 77, 604 976 009

KMM OKNO
FABRYKA OKIEN

OKNA z PCV oraz ALU
żaluzje • rolety • plisy

EKSKLUZYWNE ORAZ TANIE KBE Roto GLASSOLUTIONS

EXPRESS *ilustrowany*

www.expressilustrowany.pl
e-mail: express@express.lodz.pl

REDAKCJA 90-532 Łódź, ul. ks. I. Skorupki 17/19
Redaktor naczelny Marek Krzciuk
Sekretariat 42 66 59 300
BIURO REKLAMY Polska Press Sp. z o.o. Oddział Biuro Reklam w Warszawie Filia Łódź, ul. ks. I. Skorupki 17/19, 90-532 Łódź, tel. 6659-400.

Ogłoszenia na telefon 0-800 427-28-52. Adresy i telefony biur ogłoszeń na stronach ogłoszeniowych
WYDAWCA Polska Press Sp. z o.o. Warszawa 02-672, ul. Domaniewska 45
Prezes Zarządu Polska Press Grupy Zenon Nowak
Prezes Makroregionu Aneta Sarga-Burtan
Dyrektor sprzedaży makroregionu Anna Galsuzka tel. 502 49 92 57
Marketing Paweł Biernacki
Patronaty: patronaty.lodzkie@polskapress.pl

Projekt graficzny Tomasz Bocheński;
Biuro Prasowe: biuroprasowe@polskapress.pl
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10
DRUK Drukarnia ZPR Media S.A., 04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Prenumerata z dostawą do domu:
bok.prenumerata@polskapress.pl, tel. 42 715 80 68
Garmond: prenumerata.dla.klientow.indywidualnych@prenumeratapolska.pl, tel. 12 422 14 85;
dla firm i instytucji: prenumeratapolska@garmondpress.pl
Kolporter: prenumerata wyłącznie dla firm i instytucji www.prenumerata.kolporter.com.pl, tel. 41 367 88 66;
Poczta Polska: www.prenumerata.poczta-polska.pl, lub w najbliższym urzędzie pocztowym.

© 2016 - umieszczenie takich dwóch znaków przy artykule, w szczególności przy aktualnym artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie <http://www.expressilustrowany.pl/tresci> i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

MAJ 16 2026

NOWE OTWARCIE TERM UNIEJÓW!

NIE PRZEGAP DNIA PEŁNEGO ATRAKCJI!

Kup bilet na basen i przeżyj niezapomniane chwile!

W CENIE:

- KONCERTY
- STREFA BASENOWA
- STREFA SAUN
- NOWA LETNIA
- STREFA REKREACJI

WEJŚCIE OD 10:00

(MOŻLIWOŚĆ KORZYSTANIA ZE WSZYSTKICH ATRAKCJI)

START IMPREZY - 17:00

(koncerty) **BAWIMY SIĘ DO PÓŁNOCY!**

IMPREZĘ POPROWADZI *Agnieszka Hyży*

Miejsce: Kompleks termalno-basenowy „Termy Uniejów” - NOWA LETNIA STREFA REKREACJI

Więcej informacji i bilety na: termyuniejow.pl oraz goingapp.pl

Going  **empik**



Partnerzy wydarzenia:



Organizatorzy wydarzenia:



UNIEJÓW
Uzdrowisko Termalne



Nocna prohibicja w całej Łodzi?

Rozpoczęły się konsultacje dotyczące rozszerzenia nocnej prohibicji na teren całej Łodzi. Ich wynik ma być wiążący przy podejmowaniu decyzji - zapewniają łódzcy radni.

Matylda Witkowska

Wczoraj rozpoczęły się konsultacje społeczne dotyczące rozszerzenia zakazu sprzedaży alkoholu w sklepach i na stacjach benzynowych w godz. 22-6 na terenie całego miasta.

Jako pierwsze odbyło się spotkanie na żywo z Fabryce Aktywności Miejskiej. W poniedziałek o godz. 11 mieszkańcy będą mogli wypowiedzieć się online na platformie Zoom, potem w planach są dyżury konsultacyjne w łódzkich szkołach na terenie osiedli. Do 7 czerwca Łodzianie mogą też zgłaszać na platformie Vox Populi.

Konsultacje społeczne to efekt wniosku złożonego w marcu przez grupę ponad 20 radnych Koalicji Obywatelskiej i Nowej Lewicy, a ich wynik ma zdecydować o tym, czy nocna prohibicja ma być rozszerzona z obecnych 7 osiedli w centrum, na cały teren miasta.

Konsultacje mają potrwać miesiąc, potem na ich podstawie powstanie raport.

- W lipcu będziemy mieć raport, a po wakacjach będziemy podejmować decyzję - ocenia Tomasz Kacprzak, przewodniczący klubu radnych KO i jeden z autorów wniosku.

Jak zapewnia radny, decyzja wyrażona przez Łodzian w konsultacjach będzie dla radnych wiążąca.

- Rok temu wiele osób dyskutowało o wprowadzeniu zakazu w centrum Łodzi. Dzisiaj nie widzę, żeby ten temat wywoływał jakieś duże poruszenie społeczne. Być może nie powinniśmy się nim zajmować - mówi.

Jeśli mieszkańcy i radni poproszą o rozszerzenie zakazu, wejdzie on w życie najwcześniej zimą, bo tak jak w ubiegłym roku prawdopodobnie będzie obowiązywał trzymiesięczny okres przejściowy.

Nocna prohibicja w centrum Łodzi zaczęła obowiązywać 17

października 2025 na terenie osiedli: Katedralna, Śródmieście-Wschód, Górniak, Bałuty-Doły, Bałuty-Centrum, Stare Polesie i Stary Widzew. Pierwsze dni były zaskoczeniem, ale Łodzianie szybko przyzwyczaili się do zmian. Kilka nocnych sklepów z alkoholem zamknęło się, w pozostałych pojawiły informacje o sprzedaży trunków tylko do godz. 22.

Z wprowadzenia zakazu cieszą się gastronomicy i mieszkańcy ul. Piotrkowskiej. Mniej nocnych sklepów, to mniej osób pijących po bramach i odstraszaających klientów lokali, mniej awanturujących się i mniej butelek po małpkach. Niezadowoleni są agenci Żabek i imprezowicze. Nadal jednak nie ma statystyk, które jednoznacznie potwierdziłyby lub zanegowały sens nocnej prohibicji. Ostateczne będą znane za rok lub dwa, gdy wykluczy się czynniki związane z porą roku i chłodną zimą. Według



Na razie nocna prohibicja obejmuje teren 7 rad osiedli w Łodzi.

straży miejskiej w ciągu miesiąca po wprowadzeniu prohibicji interwencje związane ze spożyciem alkoholu w miejscach publicznych spadły ze 115 do 83 miesięcznie, zakłócenia ciszy nocnej z 15 do 9, osób leżących na ulicach z 266 do 216.

Zapytaliśmy mieszkańców Nowego Rokicia, na którym nadal nocą można kupić napoje alkoholowe. Czy chcą zakazu? Okazało się, że większość pytanym była na tak.

- Ja jestem za. Często widzę alkoholików i mi się to nie podoba - mówił jeden z pytanych.

Ale nie brakowało też osób zmartwionych.

- To zły pomysł. Jak wracam z roboty późno to bym się napił piwa. I co ja wtedy zrobię? -



Czy przed godz. 22 - godziną prohibicji - będą się tworzyć takie kolejki?

już teraz martwił się jeden z mieszkańców.

Spytaliśmy też internautów w sondzie. Głosy były podzi-

lone niemal po równo: 52,5 proc. było za objęciem prohibicją całego miasta, 47,5 było przeciw.

Dziwna rekrutacja do Przedszkola nr 100

Matylda Witkowska

Podczas rekrutacji do Przedszkola Miejskiego nr 100 w Łodzi zniknęła cała planowana grupa dzieci. Rodzice trzylatków, którzy chcieli tu posłać swoje maluchy są zdenerwowani. Magistrat tłumaczy się małym zainteresowaniem.

Od września w Przedszkolu Miejskim nr 100 przy ul. Piotrkowskiej 44 miało czekać - według informacji na stronie przedszkola - 29 wolnych miejsc. Ale rodzice trzylatków, którzy dla swych pociech wybrali tę placówkę jako miejsce pierwszego wyboru, odeszli z kwitkiem.

- 27 kwietnia dowiedziałam się, że moje dziecko przyjęte do przedszkola, ale drugiego wyboru. To było tuż przed majówką, trudno się było czegoś dowiedzieć - mówi mama jednego z dzieci.

Okazało się, że w podobnej sytuacji jest znacznie więcej



Dlaczego podczas rekrutacji zniknęły miejsca dla całej grupy najmłodszych dzieci?

dzieci, bo mimo dużego limitu przyjęto zaledwie kilkoro. Rodzice ustalili, że liczbę wolnych miejsc zredukowano na polecenie Urzędu Miasta Łodzi już w czasie rekrutacji. I postanowili zaprotestować. Złożyli skargi do Kuratorium Oświaty w Łodzi i Rady Miejskiej.

- Bo chyba nie można zmieniać reguł w czasie rekrutacji? - mówią.

Obawiają się, że ze względu na swoje walory, działka tuż przy Piotrkowskiej może być przeznaczona na inny cel. Zaś rezygnacja z najmłodszej gru-

py może być początkiem wygaszania przedszkola.

Według danych Urzędu Miasta Łodzi do PM nr 100 wpłynęło jedynie 16 wniosków pierwszego wyboru, na 30 przygotowanych miejsc. Ostatecznie przyjęto tylko 5 nowych dzieci, które dołączyły do 70 uczęszczających już tu dzieci.

„Miasto nie planuje likwidacji Przedszkola Miejskiego nr 100 ani zmiany przeznaczenia nieruchomości zajmowanej przez placówkę” - twierdzi biuro prasowe UMŁ.

Czas na egzaminy ósmoklasistów na koniec szkół podstawowych

Magdalena Jach

W poniedziałek rozpoczyna się egzamin ósmoklasisty 2026. Przez trzy kolejne dni uczniowie klas ósmych szkół podstawowych będą mierzyć się z obowiązkowymi testami z języka polskiego, matematyki i języka obcego nowożytnego.

W województwie łódzkim do egzaminu przystąpi 23 760 uczniów, z czego 6179 w samej Łodzi.

Egzamin ósmoklasisty jest obowiązkowy i kończy naukę w szkole podstawowej. Choć nie można go formalnie nie zdać, ponieważ nie obowiązuje minimalny próg punktowy, wyniki mają duże znaczenie podczas rekrutacji do szkół ponadpodstawowych.

Egzaminy będą odbywać się codziennie o godz. 9. W poniedziałek uczniowie napiszą egzamin z języka polskiego, na którego rozwiązanie przewidziano 150 minut. We wtorek, 12 maja, zmierzą się z matematyką - ten egzamin potrwa 125 minut. Ostatniego dnia, w środę 13 maja, ósmoklasiści przystąpią do egzaminu z języka obcego nowożytnego, który potrwa 110 minut.

Najwięcej uczniów w regionie wybrało język angielski. W województwie łódzkim będzie go zdawać 23 493 uczniów, w tym 6112 w Łodzi. Znacznie mniej osób zdecydowało się na inne języki: niemiecki wybrało 174 uczniów w regionie i 48 w Łodzi, rosyjski odpowiednio 88 i 15, a hiszpański zaledwie 5 uczniów

w województwie, w tym 4 w Łodzi.

Egzamin zostanie przeprowadzony wyłącznie w formie pisemnej. Arkusze będą zawierały zarówno zadania zamknięte, jak i otwarte, wymagające samodzielnego sformułowania odpowiedzi. Zakres sprawdzanych umiejętności określają wymagania podstawy programowej oraz informatory przygotowane przez Centralną Komisję Egzaminacyjną.

Dla uczniów, którzy z przyczyn losowych lub zdrowotnych nie będą mogli przystąpić do egzaminu w terminie głównym, przewidziano termin dodatkowy - od 8 do 10 czerwca 2026 roku.

Wyniki egzaminu ósmoklasisty zostaną ogłoszone 3 lipca 2026 roku.

ORLEN wzmacnia bezpieczeństwo Polaków. 20 mln zł dla strażaków w całym kraju

W ramach 25. jubileuszowej edycji programu „ORLEN na straży”, Fundacja ORLEN przeznaczy 20 mln zł na wsparcie jednostek straży pożarnej w całej Polsce. To jeden z największych i najdłużej realizowanych programów wspierających strażaków, który realnie wzmacnia gotowość służb ratowniczych i system bezpieczeństwa kraju.

Gdy w środku nocy słychać syreny alarmowe, nikt nie pyta, czy to dobry moment. Strażacy po prostu ruszają do akcji. Gaszą pożary, wyjeżdżają do wypadków, śpieszą z pomocą w czasie podtopień, awarii linii energetycznych czy rozlanego paliwa. Tam, gdzie inni doświadczają nagłych i przykrych zdarzeń, oni natychmiast przystępują do działania, niosąc pomoc każdemu, kto jej potrzebuje. Aby jednak robić to skutecznie, strażacy również potrzebują wsparcia – zapewnia je program „ORLEN na straży”.

To jedna z największych inicjatyw realizowanych w naszym kraju, która realnie wspiera jednostki straży pożarnej. W 2026 roku Fundacja ORLEN przeznaczy na ten cel 20 mln zł. Budżet pozwoli na lepsze przygotowanie jednostek, wyposażenie ich w nowocześniejszy sprzęt, zwiększenie bezpieczeństwa ratowników i sprawniejsze działania wszędzie tam, gdzie liczy się każda minuta. Jubileuszowa, 25. edycja programu potwierdza, że to inicjatywa realizowana w sposób przemyślany, konsekwentnie i odpowiedzialnie.

Program, który odpowiada na realne potrzeby

„ORLEN na straży” to wsparcie zarówno dla jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej, jak i Państwowej Straży Pożarnej. Dwa lata temu program przeszedł istotną przemianę, odpowiadając na zgłaszane przez strażaków potrzeby. Wsparcie zostało rozszerzone – obok finansowania sprzętu większy nacisk położono na rozwój kompetencji, szkolenia i przygotowanie do coraz bardziej wymagających zadań. Od tego czasu w ramach programów strażackich ORLEN przyznał granty o łącznej wartości ponad 36,8 mln



zł, wspierając 756 jednostek w całej Polsce.

Korzyści płynące z tej inicjatywy najlepiej ilustruje wypowiedź Michała Treski, Prezesa Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo: – *Wsparcie z programu „ORLEN na straży” w przypadku naszej jednostki przełożyło się na bardzo konkretne i odczuwalne zwiększenie zdolności operacyjnych. Przede wszystkim znacząco poprawiły się bezpieczeństwo i gotowość bojowa strażaków dzięki doposażeniu w nowe ubrania specjalne. Pozwala to większej liczbie ratowników jednocześnie brać udział w działaniach w strefie zagrożenia. Ma to więc bezpośredni wpływ na szybkość reakcji oraz skalę interwencji. Ubrania specjalne to nasz najważniejszy środek ochrony, a jego sprawność i nowoczesność chronią nasze zdrowie i dają spokój działania.*

Projekt pozwolił nam także odpowiedzieć na nowe wyzwania wynikające z rozwoju technologii, takie jak pożary instalacji fotowoltaicznych czy pojazdów elektrycznych. Doposażenie jednostki w dedykowany sprzęt gaśniczy oraz narzędzia do działań technicznych, w tym do siłowego otwierania drzwi, zwiększyło skuteczność interwencji w sytuacjach bezpośredniego zagrożenia życia. W efekcie nasza jednostka nie tylko działa szybciej, lecz też jest przygotowana na znacznie szerszy zakres zdarzeń.

W tegorocznej edycji zaprojektowano cztery ścieżki ubiegania się o granty. Każda z nich odpowiada na inny typ zagrożeń i inny profil działań ratowniczych.

Cztery ścieżki, jeden cel – skuteczniejsze działania

Pierwsza ścieżka grantowa dotyczy ratownictwa związanego z wypadkami drogowymi. Jednostki mogą ubiegać się tu o grant do 50 tysięcy złotych. Wypadki drogowe należą dziś do najbardziej wymagających interwencji. Tu liczy się nie tylko czas, ale też precyzja, odpowiedni sprzęt i właściwe przygotowanie zespołu.

Druga ścieżka to ratownictwo związane z przemysłem chemicznym oraz z instalacjami odnawialnych źródeł energii, obejmującymi infrastrukturę Grupy ORLEN. Tu niezbędne wyposażenie i przygotowanie strażaków jest jeszcze bardziej wymagające. Jednostki OSP i PSP mogą wnioskować nawet o 150 tysięcy złotych, co pozwala realnie zwiększyć gotowość do działania przy tego typu zagrożeniach.

Trzecia ścieżka to szeroko rozumiana walka ze skutkami zmian klimatycznych. Powodzie, pożary terenów otwartych, gwałtowne wichury są dziś coraz częstszymi zjawiskami i stanowią codzienność służb ratunkowych. Aplikując w tym obszarze, jednostki OSP mogą otrzymać do 40 tysięcy złotych.

I wreszcie czwarta ścieżka – wsparcie dla jednostek OSP

spozu krajowego systemu ratowniczo-gaśniczego, które chcą osiągnąć wymagane przez system standardy i rozwijać swoją gotowość operacyjną. To bardzo ważny element programu, ponieważ wzmacnia także te jednostki, które chcą rozbudować swój potencjał.

„ORLEN na straży” to także edukacja i szkolenia

Program nie ogranicza się tylko do finansowania wyposażenia – bardzo mocno stawia na bezpośrednie wsparcie strażaków. Każda jednostka, która otrzyma grant, musi przeznaczyć minimum 20% środków na szkolenia, kursy, warsztaty lub wsparcie psychologiczne. – *Srodki z programu zostały w naszym przypadku wykorzystane nie tylko na zakup sprzętu, ale właśnie na rozwój kompetencji strażaków-ochotników, co było bardzo ważne dla pełnego wykorzystania potencjału projektu. Zorganizowaliśmy szkolenia specjalistyczne, obejmujące między innymi ratownictwo chemiczne, działania przy wyciekach gazu oraz reagowanie na zagrożenia związane z nowoczesnymi technologiami, takimi jak instalacje fotowoltaiczne czy pojazdy elektryczne. Udało nam się zrealizować te szkolenia na profesjonalnych poligonach, co bez finansowania z projektu nie byłoby możliwe – mówi Michał Treska z OSP Gdańsk-Sobieszewo. – Duży nacisk położyliśmy również na praktyczne warsztaty, które pozwoliły prze-*

ćwiczyć wykorzystanie nowo zakupionego sprzętu w realistycznych scenariuszach działań. Dzięki temu wiedza nie pozostała wyłącznie teoretyczna, a sprzęt nie trafia jedynie „na półkę”. Istotne było dla nas także to, aby w szkoleniach uczestniczyło jak najwięcej strażaków, co przekłada się na większą elastyczność i gotowość zespołu w codziennej służbie. Udało nam się część szkoleń zrealizować również przy użyciu technologii VR, która choć nie zastępuje działań w terenie, to stanowi wartościowe uzupełnienie i daje możliwość utrwalania procedur „na sucho” poprzez ich wielokrotne powtarzanie w dowolnie wybranym momencie.

W ramach projektu realizujemy również działania z zakresu wsparcia psychologicznego. To szczególnie istotne, ponieważ ten obszar ma ogromne znaczenie w naszej działalności, a dopiero od niedawna dostrzega się jego znaczenie. Należy pamiętać, że ochotnicy wykonują swoje działania dodatkowo, w ramach wolnego czasu, który mogliby spędzić na przykład z rodzinami. Zdarzenia, z którymi się mierzą, są często trudnym doświadczeniem. A przecież

nasi członkowie, strażacy i strażaczki, to „twardzi ludzie” i często sami nie umieją poprosić o pomoc, by rozładować napięcie, które się w nich gromadzi. Warsztaty w obszarze wsparcia psychologicznego skupiały się więc na radzeniu sobie ze stresem oraz na funkcjonowaniu po trudnych akcjach ratowniczych – zaznacza Prezes Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo.

Nabór do 25. edycji programu „ORLEN na straży” trwa do 30 czerwca

Wnioski w ramach tegorocznego naboru do programu można składać do 30 czerwca 2026 roku za pośrednictwem specjalnego formularza na stronie internetowej orlennastry.pl. Wyniki zostaną ogłoszone najpóźniej 11 września. We wniosku należy szczegółowo opisać planowany projekt, uzasadnić jego znaczenie dla bezpieczeństwa lokalnej społeczności oraz przedstawić kosztorys. Pomocna jest tu platforma aplikacyjna, która przeprowadzi krok po kroku przez cały proces i nie pozwoli niczego pominąć. Cały proces naboru odbywa się drogą elektroniczną. Zachęcamy do wzięcia udziału w programie „ORLEN na straży”.



Michał Treska, Prezes Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo.

● Zwiedzanie

Noc Muzeów za tydzień w całej Łodzi

Kolejki do Muzeum Łodzi
podczas Nocy Muzeów
przed kilku laty.
Teraz nie będą mniejsze...

Ciesząca się co roku dużym zainteresowaniem Noc Muzeów tym razem zaplanowana została na 16 maja. W Łodzi w wydarzeniu weźmie udział przeszło 30 instytucji.

Dariusz Pawłowski

Łódzkie instytucje, jak zwykle, zapraszają gości do zwiedzania prezentowanych wystaw, zapraszają specjalne atrakcje, ale udostępnią też przestrzenie na co dzień niedostępne.

W bogatym programie tegorocznej Nocy Muzeów znajdują się m.in. bezpłatne wystawy stałe i czasowe, spotkania z artystami i kuratorami, pokazy filmowe i teatralne, warsztaty rodzinne, wydarzenia plenerowe, oferta kulinarna.

- Cieszę się, że Noc Muzeów z roku na rok staje się coraz większym wydarzeniem i biorą w nim udział nie tylko instytucje kultury - zaznacza Małgorzata Moskwa-Wodnicka, wiceprezydent Łodzi. - Proponuję

jest wiele, będą uruchomione zabytkowe linie tramwajowe i autobusowe, aby uczestnicy mogli się przemieszczać pomiędzy poszczególnymi instytucjami.

Wydarzenia związane z Nocą Muzeów rozpoczną się o godzinie 18 i potrwać co najmniej do pierwszej w nocy. Łódzcy artyści, jak i instytucje przygotowują na tę noc unikalne wydarzenia, które nie powtórzą się w innym terminie. Na przykład w Miejskiej Galerii Sztuki goście wspólnie stworzą instalację artystyczną, w Muzeum Geologicznym będzie można spotkać kosmicznych wędrowców, niespodzianki przygotowują popularne łódzkie placówki.

- Zapraszamy nie tylko do zwiedzania naszych wy-

staw, ale też do spotkania z nami, rozmów, bo jesteśmy bardzo ciekawi, co sądzą państwo o naszej ofercie - zwraca się do uczestników Nocy Muzeów Aneta Dalbiak, dyrektorka Centralnego Muzeum Włókiennictwa. - Zapraszamy do oglądania ekspozycji „Miasto - Moda - Maszyna”, Łódzkiego Parku Kultury Miejskiej, czy udostępnianej po raz pierwszy w Noc Muzeów wystawy „Ostatnie lato”, w willi przeniesionej na teren muzeum z podłódzkiej Rudy Pabianickiej. To szczególna prezentacja, bo tam można dotykać wszystkich eksponatów. Niezmiennie też zachęcamy do odwiedzania naszej sali masywnych w ruchu, gdzie można zobaczyć XIX-wieczne krosna.

W Noc Muzeów angażuje się także Sąd Okręgowy w Łodzi.

- Otwieramy drzwi nie tylko do tajemniczych miejsc sądu, ale ożywimy również duchy starych spraw - mówi Agnieszka Cesarz-Cerska, rzeczniczka Sądu Okręgowego. - Przeniesiemy się do 1935 roku, w areszcie na swój drugi proces czekać będzie Ślepy Maks. Zapraszamy, by przekonać się, czy łódzki Al Capone ponownie oszuka przeznaczenie i odeprze postawione zarzuty. Przygotowana jest gra terenowa, która poprowadzi do zakamarków sądu niedostępnych na co dzień. Odbędzie się również spotkanie z technikiem kryminalistyki oraz z panią sędzią Anną Marią Wesołowską.

Pełen harmonogram wydarzeń będzie na specjalnej stronie internetowej.

Majowe pikniki i unijne fundusze

Matylda Witkowska

Przez cały maj w Łodzi i regionie organizowane będą bezpłatne wydarzenia przybliżające fundusze unijne. Mijają właśnie 22 lata od wstąpienia Polski do UE, w tym czasie do Łódzkiego trafiło prawie 74 mld zł funduszy europejskich. Te zmiany ma przybliżyć cykl wydarzeń Funduszowy Maj.

- Maj to najlepszy miesiąc by przypominać wszystkim Polkom i wszystkim Polakom o członkostwie Polski w Unii Europejskiej - mówiła podczas konferencji prasowej zapowiadającej Funduszowy Maj marszałek województwa Łódzkiego Joanna Skrzydlewska.

Funduszowy Maj skupi się na unijnym dofinansowaniu w dziedzinie turystyki, gastronomii i zdrowia. Cykl imprez rozpocznie się już dziś warsztatami naukowymi w laboratoriach dofinansowanego z funduszy UE budynku MO-LecoLab Uniwersytetu Medycznego. Potem w harmonogramie Funduszowego Maja są warsztaty, wycieczki i pikniki. Będzie można wziąć udział w kilku warsztatach kulinarnych, dietetycznych, a nawet w warsztatach profesjonalnego morsowania pod okiem fizjoterapeuty. Nie zabraknie też wycieczek po regionie łódzkim z dofinansowaną ze środków unijnych Łódzką Koleją Aglomeracyjną. Zaplanowano je na kolejne niedziele maja. 10 maja będzie można pojechać do Piotrkowa Trybunalskiego, 17 maja do Łowicza, 24 maja do Kutna, a 31 maja do Sieradza. Na miejscu czekać będą



FOT. BARTOSZ KSIĘŻAK

- Maj to najlepszy miesiąc by przypominać wszystkim Polkom i wszystkim Polakom o członkostwie Polski w Unii Europejskiej - mówi marszałek Joanna Skrzydlewska.

przewodnicy, którzy pokażą zmieniające się dzięki unijnym funduszom miasta i ich zabytki.

Funduszowy Maj to także otwarte dla wszystkich pikniki. W sobotę (16 maja) w Parku Staromiejskim w Łodzi odbędzie się piknik mundurowy, a w sobotę (30 maja) odbędzie się dni otwarte w kompleksie jezdziecko-hotelarskim Salio w Besiekierzu Rudnym (powiat zgierski). W piątek (29 maja) Dzień Rodzinny z Funduszami Unijnymi odbędzie się w parku podworskim w Czerniewicach (powiat tomaszowski) - w programie m.in. atrakcje kulinarne. Cykl imprez zakończy się (31 maja) na Jarmarku Wojewódzkim w Łodzi gdzie działać będzie specjalna Strefa Funduszy Unijnych, a w niej m.in. czekać będzie dietetyk. Szczegółowe informacje i zapisy są na stronie www.funduszeue.lodzkie.pl.

REKLAMA

0011457249

Nekrologi i kondolencje zlecisz

osobiście w Biurze Ogłoszeń,
Łódź, ul. ks. Skorupki 17/19

Zadzwoń

502 499 119, 502 499 127

lub przez internetowe biuro
ibo.polskapress.pl

Nekrologi i kondolencje ukazują się w prasie oraz w serwisie nekrologi.net

REKLAMA

0011515573

AUTOPROMOCJA

H. SKRZYDLEWSKA

- Kompleksowa organizacja pogrzebów
- Całodobowy transport zmarłych
- Kwiaty, wieńce, oprawa muzyczna
- Wsparcie formalne i doradztwo
- Własne krematoria
- Międzynarodowy transport zmarłych

Całodobowo: 42 672 33 33

800 672 333

Tradycja • Rzetelność • Profesjonalizm



Kondolencje i nekrologi w Twojej gazecie
przez Internetowe Biuro Ogłoszeń,
bez wychodzenia z domu

Tutaj zlecisz ogłoszenie

ibo.polskapress.pl

Powrót „expressowego” komiksu o Wicku i Wacku

Za tydzień, 16 maja, Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej w EC1 Łódź otworzy wyjątkową wystawę. To ekspozycja poświęcona 80-leciu urodzin kultowego łódzkiego komiksu o przygodach pary przyjaciół zamieszkałych na Widzewie - Wicku i Wacku.

Dariusz Pawłowski

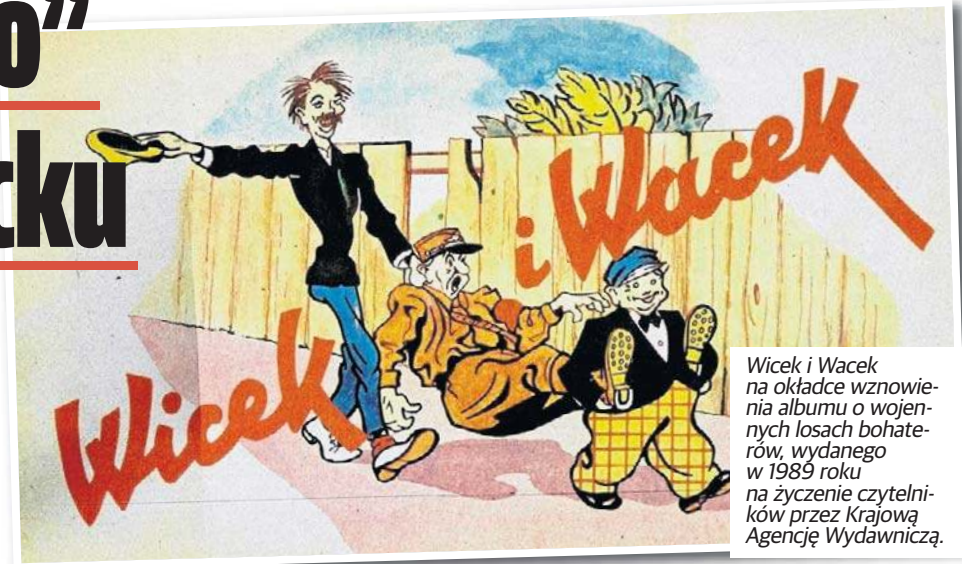
Łodzianie nie gęsi - swojego Pata i Patachona mieli. To legendarni Wicek i Wacek, mieszkańcy Widzewa, bohaterowie łódzkiego, niezwykle popularnego komiksu, który od 1946 roku ukazywał się na łamach „Expressu Ilustrowanego” i był pierwszą tego typu publikacją w powojennej Polsce.

Autorem ilustracji był Waclaw Drozdowski (rysownik, ilustrator, autor wnień prasowych, dziennikarz), a tekstów - Adam

Ochocki (dziennikarz prasowy, pisarz, satyryk i autor scenariuszy do filmów animowanych).

Wystawę „Wicek i Wacek: 80. urodziny kultowego łódzkiego komiksu” przygotowało Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej, jej kuratorką jest dr Karolina Kołodziej z Uniwersytetu Łódzkiego. Wernisaż odbędzie się w sobotę 16 maja od godz. 18.30 w siedzibie instytucji, mieszczącej się w EC1 Łódź przy ul. Targowej 1/3.

„Express Ilustrowany” po wojnie zaczął się ukazywać od 17 stycznia 1946 roku i już w drugim numerze gazety uka-



Wicek i Wacek na okładce wznowień albumu o wojennych losach bohaterów, wydane w 1989 roku na życzenie czytelników przez Krajową Agencję Wydawniczą.

FOT. WATERYK/CENTRUM KOMIKSU

zał się komiks rysowany przez Waclawa Drozdowskiego o życiu duetu niesfornych przyjaciół. Akcja początkowych odcinków rozgrywała się w czasie wojny, późniejsze historie opowiadały o przygodach łódzkich nicponi w rzeczywistości powojennej. Po latach do Wicku i Wacka dołączył trzeci bohater - safandulowaty Polikarp.

Komiks stał się tak popularny wśród czytelników gazety, że już zimą 1948 roku doczekał się pierwszego odrębnego, albumowego wydania, w którym zebrano okupacyjne losy Wicku i Wacku. Publikacja osiągnęła nakład 250 tysięcy eg-

zemplarzy, który rozszedł się błyskawicznie.

Przygody Wicku i Wacku były drukowane w „Expressie Ilustrowanym” codziennie, publikowano także listy od i do łódzkich bohaterów. Cieszyli się oni niekwestionowaną sympatią kilku pokoleń Łodzian.

Waclaw Drozdowski zmarł w roku 1951, rysowanie komiksu przejęli po nim Stanisław Gratkowski i Jerzy Jankowski, podpisujący się wspólnym pseudonimem „Ibis”. W 1953 roku Wicek i Wacek zniknęli z „Expressu”, by dopiero w 1971 roku powrócić w wydawnictwie albumowym, ra-

zem z innym bohaterem komiksowym łódzkiej gazety, Polikarpem, stworzonym przez Adama Bieńkowskiego. Kolejne albumy z Wickiem i Wackiem, już w kolorze, ukazały się w latach 1988 i 1989.

Wystawa w Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej zaprezentuje oryginalne komiksowe plansze i archiwalne wydania, jak również przedstawia historię bohaterów oraz ich autorów.

Gościem specjalnym wernisazu będzie Helena Ochocka, córka Adama Ochockiego, autorka wielu programów telewizyjnych.

MATERIAL INFORMACYJNY T-MOBILE

0011518049

T-Mobile odświeża ofertę na kartę. Atrakcyjne pakiety i niespodzianki w Magenta Moments – „Wszystko blisko”

Można być całunobliśko, dalekobliśko, momentobliśko i pysznobliśko, bo każde blisko jest fajne! Od 6 maja, wraz ze startem nowej oferty T-Mobile na kartę, rusza nowa kampania reklamowa pod hasłem „Wszystko blisko”, promująca ofertę T-Mobile na kartę oraz bonusy w Magenta Moments.

Nieważne, czy jesteś online, czy offline, zawsze możesz być blisko drugiej osoby. To wszystko możesz mieć w T-Mobile na kartę dzięki dużej paczce Internetu 9999 GB przez rok (12 x 833,25 GB) z ofertą cykliczną od 35 zł, która zapewnia Ci swobodę korzystania ze smartfona oraz niespodziankom w Magenta Moments, które pozwalają na mite spędzanie czasu razem.

Swoboda na start

Jedną z najważniejszych zmian jest podejście do samego początku korzystania z oferty. Pierwszy miesiąc za 0 zł to rozwiązanie, które niewątpliwie zachęca do spróbowania. Użytkownik nie musi już podejmować decyzji „w ciemno”, ani zastanawiać się, czy oferta będzie dla niego odpowiednia – może ją po prostu sprawdzić w praktyce.



Co ważne, nie jest to wersja testowa czy ograniczona. W ramach pierwszych 30 dni dostępne są Nielimitowane rozmowy, SMS-y i MMS-y oraz pakiet internetu, który bez problemu wystarcza na codzienne potrzeby. Dopiero po tym czasie użytkownik decyduje, czy chce zostać na dłużej. To prosty, przejrzysty model, który dobrze wpisuje się w rosnącą potrzebę elastyczności.

Aktywacja Roku Internetu z 9999 GB jest możliwa z ofertą cykliczną już od 35 zł w aplikacji Mój T-Mobile. Pierwszy pakiet 833,25 GB zostanie przyznany po aktywacji usługi, a kolejne po odnowieniu ofer-

ty cyklicznej. Aby skorzystać z oferty, wystarczy kupić starter, zarejestrować go, doładować konto za 10 zł, a następnie włączyć ofertę GO! M przez pierwszy miesiąc za 0 zł i Rok Internetu w aplikacji Mój T-Mobile. Gotowe!

Internet, który nadąza za codziennością

Internet to dziś podstawowe narzędzie komunikacji i rozrywki. Korzystamy z niego w pracy, w podróży, w domu. Nawigacja, komunikatory, serwisy społecznościowe czy streaming działają w tle naszego życia.

Dlatego zwiększenie pakietów danych w odświeżonej

ofercie ma realne znaczenie. Każdy z dostępnych wariantów został wzbogacony o dodatkowe gigabajty. W ofercie cyklicznej GO! M za 35 zł klient otrzyma 50 GB internetu (w tym 20 GB po doładowaniu), w ofercie GO! L za 45 zł otrzyma 150 GB (w tym 30 GB po doładowaniu), a w opcji GO! XL za 50 zł aż 300 GB (w tym 30 GB po doładowaniu), co przekłada się na większy komfort korzystania z telefonu. Zamiast kontrolować zużycie danych, można po prostu korzystać z sieci bez stresu i bez ograniczeń.

To zmiana, która może wydawać się subtelna, ale w praktyce robi dużą różnicę. Internet przestaje być czymś, co trzeba „oszczędzać”, a zaczyna być naturalnym elementem codzienności.

9999 GB, czyli koniec liczenia – z ofertą cykliczną już od 35 zł

Jednym z najmocniejszych elementów oferty jest tzw. Rok Internetu, czyli aż 9999 GB danych (12 x 833,25 GB) do wykorzystania w skali roku. W praktyce oznacza to setki gigabajtów miesięcznie – ilość, która dla większości użytkowników eliminuje potrzebę jakiegokolwiek kontroli zużycia.

Streaming w wysokiej jakości, wideorozmowy, praca zdalna czy rozrywka online przestają być czymś, co trzeba planować. Internet jest po prostu dostępny wtedy, kiedy jest potrzebny.

Aktywacja tej opcji została maksymalnie uproszczona. Wystarczy kupić starter, zarejestrować go, doładować konto za 10 zł, a następnie włączyć ofertę GO! M przez pierwszy miesiąc za 0 zł i Rok Internetu w aplikacji Mój T-Mobile.

Nie tylko usługi – także doświadczenia

Współczesne oferty telekomunikacyjne coraz częściej wychodzą poza schemat minut i gigabajtów. Użytkownicy oczekują czegoś więcej – rozwiązań, które realnie wpływają na ich codzienność.

I tutaj ważną rolę odgrywa program Magenta Moments. To przestrzeń, w której technologia spotyka się z codziennymi przyjemnościami. Użytkownicy mogą korzystać z ofert i okazji przygotowanych we współpracy z partnerami – m.in. w miejscach takich jak Pizza Hut, KFC czy Cinema City. To dodatki, które zmieniają sposób postrzegania oferty. Telefon przestaje być tylko narzędziem komunikacji, a zaczyna

ułatwiać codzienne spotkania, wyjścia, zakupy, wspólne spędzanie czasu.

Rozrywka bez ograniczeń

Uzupełnieniem oferty są korzyści związane z rozrywką cyfrową. W wybranych pakietach użytkownicy mogą skorzystać z dostępu do YouTube Premium. Brak reklam, możliwość odtwarzania w tle czy pobierania treści offline to funkcje, które znacząco podnoszą komfort korzystania z platformy. W połączeniu z dużą ilością opcji ta tworzy wyjątkowo spójną ofertę.

Koniec technologicznych wymówek

Wszystkie te elementy składają się na jedną, wyraźną zmianę. Technologia przestaje być ograniczeniem, a zaczyna funkcjonować w tle – dyskretnie, ale skutecznie. Nie wymaga planowania ani kontroli, tylko po prostu działa. I właśnie dlatego coraz trudniej mówić o „technologicznym alibi”. Bo skoro wszystko jest na wyciągnięcie ręki – szybkie, dostępne i wygodne – pozostaje już tylko skupić się na tym, co naprawdę ważne: relacjach, rozmowach i codziennych chwilach, które chcemy dzielić z innymi.

Finanse

Od lewej: Małgorzata Moskwa-Wodnicka, Adam Pustelnik, Hana Zdanowska, Tomasz Piotrowski i Adam Wieczorek



Co ma Łódzka władza?

Prezydent Hanna Zdanowska ma wielkie oszczędności w euro, jeden z wiceprezydentów wynajmuje 13 mieszkań, a inny inwestuje w kryptowaluty. Sprawdziliśmy oświadczenia majątkowe najważniejszych ludzi w łódzkim magistracie.

Filip Kijewski

Prezydent i wiceprezydenci miast składają oświadczenia majątkowe, bo wymaga tego prawo samorządowe i ustawa o ograniczeniu prowadzenia działalności gospodarczej przez osoby pełniące funkcje publiczne. Chodzi o jawność życia publicznego, kontrolę źródeł dochodu i zapobieganie konfliktom interesów oraz korupcji.

Pierwsze oświadczenie składa się w terminie 30 dni od złożenia ślubowania, a kolejne co roku do 30 kwietnia według stanu na 31 grudnia roku poprzedniego; dodatkowo ostatnie oświadczenie trzeba złożyć na 2 miesiące przed upływem kadencji.

Łódzkie władze inwestują przede wszystkim w mieszkania. Rekordzista ma ich 14. Jest też wiceprezydent, który bawi się w grę na giełdzie i w kryptowaluty. Jak na razie bez skutku, bo stracił na tym około 30 tysięcy złotych.

**Prezydent Łodzi
Hanna Zdanowska (KO)**

Zgromadziła około 190 tys. zł w złotówkach oraz 134 tys.

euro, co po obecnym kursie daje blisko 570 tys. zł. Prezydent posiada dwa mieszkania - jedno o powierzchni 91 mkw. wycenione na 780 tys. zł, drugie odziedziczone, o powierzchni 77 mkw. o wartości 480 tys. zł. Do tego dochodzi nowa inwestycja. W październiku 2025 roku podpisała umowę z deweloperem i do końca roku wpłaciła ponad 360 tys. zł zaliczki na kolejny lokal. Do spłaty pozostało jej jeszcze sześć z ośmiu rat.

Jej roczne dochody przekroczyły 285 tys. zł z tytułu wynagrodzenia w urzędzie, ponad 104 tys. zł z emerytury z ZUS i ponad 34 tys. euro diety z Europejskiego Komitetu Regionów.

**Wiceprezydent
Adam Wieczorek (KO)**

Ma najwięcej nieruchomości ze wszystkich najważniejszych urzędników magistratu. Oprócz mieszkania o powierzchni 83 mkw., wycenionego na ponad 833 tys. zł, posiada jeszcze 13 mniejszych lokali - każdy od 23 do 37 mkw. i wartości od 128 do 240 tys. zł. Mieszkania wynajmuje. Sam zarobił dzięki temu 123 tys. zł,

jego żona kolejne 92 tys. zł. Nieruchomości finansuje dziesięcioma kredytami hipotecznymi w czterech bankach, a największe z zobowiązań to blisko 600 tys. zł do spłaty.

Wynagrodzenie wiceprezydenta wyniosło w 2025 roku ponad 321 tys. zł brutto. Do tego Wieczorek zasiada w radach nadzorczych miejskich spółek i komisjach, co przyniosło mu dodatkowe 96 tys. zł.

**Wiceprezydent
Tomasz Piotrowski (KO)**

Jako jedyny z władz Łodzi inwestuje na giełdzie i w kryptowaluty. Między innymi ma akcje Nvidii, Amazona i Alphabetu, a także kontrakty CFD na bitcoina, ethereum i dogecoin. Na papierach wartościowych wykazał jednak stratę - ponad 35 tys. zł.

W gotówce i na rachunkach trzyma łącznie ponad 370 tys. zł. Piotrowski ma dom o powierzchni 330 mkw. wyceniony na 1,2 mln zł, pięć mieszkań stanowiących wspólność małżeńską oraz dwie działki.

Wiceprezydent zarobił w 2025 roku ponad 359 tys. zł z tytułu etatu w urzędzie, a zasiadanie w radach nadzorczych

MPK i spółki komunalnej przyniosło mu kolejne ponad 100 tys. zł. Najem mieszkań razem z żoną dał 87 tys. zł przychodu.

**Wiceprezydent
Małgorzata Moskwa-Wodnicka
(Nowa Lewica)**

W ciągu roku zwiększyła oszczędności z 87 tys. zł do 225 tys. zł. Posiada dom o powierzchni 148 m wyceniony na 580 tys. zł oraz dwa mieszkania - 55-metrowe za 220 tys. zł i 37-metrowe za 327 tys. zł. Jej wynagrodzenie z magistratu wyniosło ponad 357 tys. zł brutto, a najem mieszkań przyniósł dodatkowe 49 tys. zł.

**Wiceprezydent
Adam Pustelnik (KO)**

Wyróżnia się na tle pozostałych urzędników, bp nie zasiada w żadnych radach nadzorczych i nie czerpie dochodów z wynajmu. Posiada udział w domu o powierzchni 240 mkw. oraz udziały w dwóch działkach. Na rachunkach bankowych zgromadził ponad 87 tys. zł, a na koncie odziedziczonego przedsiębiorstwa 358 tys. zł. Wynagrodzenie z urzędu wyniosło ponad 347 tys. zł brutto.

ŁÓDZKA KATEDRA PLANEM FILMOWYM „NIEŚMIERTELNEGO”?

Dariusz Pawłowski

Przy łódzkiej archikatedrze wczoraj został rozstawiony plan zdjęciowy „dużej międzynarodowej produkcji”. Według nieoficjalnych informacji, hollywoodzkim filmem, do którego ujęcia powstają w Łodzi, jest nowa wersja „Nieśmiertelnego - Highlander”.

Produkcja powstaje w tajemnicy, kontrakty przez polskiego producenta i miasto Łódź z amerykańską stroną odpowiedzialną za przedsięwzięcie ograniczają przepływ informacji. Wiadomo jedynie, że w Łodzi filmowcy zaanektowali na plan filmowy także dworzec Łódź Fabryczna, a drugim polskim miastem, gdzie pracuje międzynarodo-

wa ekipa, jest Częstochowa. Pod archikatedrę na plan sprowadzono wiele sprzętu, między innymi ciężarówki i dźwigi, zamknięto też ulice wokół Placu Kościelnego.

„Nieśmiertelny”, którego premiera planowana jest na przyszły rok, to nowa odsłona legendarnej produkcji fantasy z 1986 roku. Film reżyseruje Chad Stahelski, a w główne role wcielają się Henry Cavill i Russell Crowe, którym partnerują m.in. Dave Bautista, Djimon Hounsou i Jeremy Irons. Za scenariusz odpowiada Michael Finch.

Akcja filmu rozpoczyna się w XVI wieku w Szkocji i prowadzi do współczesności. Można się spodziewać, że łódzka katedra „posłuży” filmowcom za obiekt historyczny...



Wokół katedry ustawiono m.in. ciężarówki i dźwigi.

Co słyhać u łódzkich czarnych bocianów oglądanych online?

Magdalena Rubaszewska

Kończy się wędrówka czarnych bocianów z zimowisk na tereny lęgowe. Niestety, w gnieździe na dębie w Łódzkiem wciąż nie ma Florentino, samca, którego życie z kolejnymi samicami i młodymi, od kilku lat obserwowali internauci. Natomiast samica Fago, jedno z młodych Florentino, kieruje się na Mazury.

Trasę lotu daje się śledzić dzięki lokalizatorowi, w który ptak został wyposażony. Jak informuje profesor Piotr Zieliński z Uniwersytetu Łódzkiego, obserwujący czarne bociany

z Łódzkiego, Fago, z lęgu z 2022 roku, po czterech dniach odpoczynku na Wielkiej Nizinie Węgierskiej wyruszyła w dalszą podróż na północ. Przeleciała nad Słowacją bez przystanku, kolejno zanocowała na obszarze Magurskiego Parku Narodowego i przed Siedlcami, minęła linię Warszawy i zmierza obecnie na Warmię. Zna tamtejsze lasy, przebywała tam w 2025 roku. W tym sezonie będzie przypuszczalnie próbowała przystąpić do lęgu.

Natomiast czarne bociany z gniazda w regionie łódzkim, które można oglądać online otrzymały imiona: Ofelia i Orion. Para wysiaduje pięć jaj.



Ofelia i Orion - takie imiona noszą bociany oglądane online.

Wybory w Anglii, Szkocji i Walii: szykuje się klęska Partii Pracy

Grzegorz Kuczyński, PAP

Wczorajsze wybory lokalne w Anglii oraz wybory do parlamentów Szkocji i Walii mogą przypieczętować los brytyjskiego premiera Keira Starmera. Wszystkie sondaże zapowiadają porażkę rządzącej Partii Pracy.

Mieszkańcy Anglii wybierali władze w 136 jednostkach samorządu terytorialnego, czyli w około jednej trzeciej z istniejących, w tym we wszystkich gminach Londynu. Do rozdzielania jest łącznie 5066 mandatów radnych, z czego prawie 2200 bronią labourzyści. W Szkocji do obsadzenia jest cały skład tamtejszego parlamentu, liczącego 129 posłów, podobnie jak w Walii, której parlament, Senedd, zostanie powiększony z 60 do 96 miejsc.

Większość wyników zostanie ogłoszona prawdopodobnie w piątek po południu.

Według sondaży wybory przyniosą poważne przetasowania w politycznym układzie sił i dalsze potwierdzenie tego, że funkcjonujący przez dekady system z dwiema dominującymi partiami coraz bardziej staje się systemem pięcio-, a w Szkocji i Walii nawet sześciopartyjnym. Przy okazji też coraz bardziej spolaryzowanym, bo zyskują głównie partie skrajne.



Premier Keir Starmer i jego żona Victoria w drodze do lokalu wyborczego.

Anglia: populiści w natarciu W Anglii, zgodnie z sondażami, najwięcej mandatów zdobędą prawicowo-populistyczna partia Reform UK oraz lewicowo-populistyczna Partia Zielonych. Dopiero o trzecie miejsce powalczą tradycyjne ugrupowania: Partia Pracy, Partia Konserwatywna i Liberalni Demokraci, przy czym labourzystom grozi utrata nawet dwóch trzecich mandatów, których bronią, a konserwatom połowy.

Szczególnie bolesna dla Partii Pracy będzie utrata wielu mandatów w Londynie, który

do niedawna wydawał się miejscem, gdzie labourzyści nie mają z kim przegrać. Jednak spora część ich wyborców, rozczarowana niespełną dwuletnimi rządami Starmera, przeniosła swoje poparcie na Partię Zielonych.

Faworyci wyborów w Szkocji i Walii

W Szkocji pewna zwycięstwa może być rządząca od 2007 r. Szkocka Partia Narodowa (SNP), a niewiadomą jest tylko to, czy uda się jej osiągnąć bezwzględnie większość. Jeśli tak się stanie, SNP używać tego będzie jako argu-

mentu na rzecz rozpisania nowego referendum w sprawie niepodległości Szkocji.

O drugie miejsce - z dużą stratą do SNP - powalczą Partia Pracy i Reform UK, co z punktu widzenia labourzystów jest słabym wynikiem, biorąc pod uwagę, że jeszcze dwa lata temu mieli oni nadzieję na odsunięcie od władzy SNP.

Jeszcze większą katastrofą dla labourzystów może być Walia, gdzie Partia Pracy wygrała wszystkie wybory od powołania walijskiego parlamentu w 1999 roku i nieprzerwanie od tego czasu rządzi. Tymczasem, według sondaży, o zwycięstwo powalczą opowiadająca się za niepodległością partia Plaid Cymru oraz Reform UK, a labourzyści zajmą odległe trzecie miejsce.

Odsunięcie Starmera? Spodziewane porażki labourzystów mogą jeszcze bardziej zachwiać pozycją premiera Keira Starmera. Mogą się do tego przyczynić wciąż powracające kontrowersje dotyczące wyznaczenia na ambasadora w USA Petera Mandelsona, mimo jego związków z Jeffreyem Epsteinem. Pojawiały się spekulacje w prasie, że część labourzystowskich posłów spiskuje w celu odsunięcia Starmera, a także na temat jego potencjalnych następców.

PREMIER W WATYKANIE, PREZYDENT CHCE REFERENDUM

Alina Mazurska, PAP

Wczoraj premier Donald Tusk spotkał się z papieżem. To pierwsza audyencja premiera u Leona XIV.

Odbyła się w przeddzień pierwszej rocznicy wyboru papieża z USA. Premier zawiązał papieżowi w podarunku Pięcioksiąg Mojżeszowy w języku kaszubski.

Prezydent Karol Nawrocki poinformował w czwartek, że zdecydował o skierowaniu wniosku do Senatu o przeprowadzenie referendum w sprawie unijnej polityki klimatycznej.

„Jako obywatelski kandydat na prezydenta podpisałem porozumienie z niezależnym samorządnym związkiem zawodowym »Solidarność«. Zadeklarowałem w nim między innymi, że podejmę działania hamujące negatywne skutki wynikające z polityki europejskiego Zielonego Ładu, w tym w szczególności złożę do Senatu Rzeczypospolitej wniosek o przeprowadzenie referen-

dum w sprawie implementacji polityki klimatycznej Unii Europejskiej” - powiedział prezydent Karol Nawrocki w wystąpieniu dostępnym na profilu kancelarii prezydenta na Platformie X.

Podkreślił, że „decyzje podejmowane dziś będą miały wpływ na nasze życie przez długie lata” i ocenił, że dotyczy to „szczególnie europejskiej polityki klimatycznej”.

Obowiązkowe czipowanie psów i kotów zakłada ustawa o Krajowym Rejestrze Psów i Kotów (KROPiK), którą w czwartek poparł Senat.

Za ustawą wraz ze zmianami głosowało 56 senatorów, przeciwnych było sześćdziesięciu, 17 wstrzymało się od głosu.

Ustawa o KROPiK wprowadza obowiązek czipowania oraz rejestracji psów i kotów w elektronicznym systemie prowadzonym przez Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Skrócono termin wejścia w życie ustawy od jej ogłoszenia - z trzech do dwóch lat.



Premier u papieża Leona XIV

Sekretarz USA Marco Rubio przybył do Rzymu

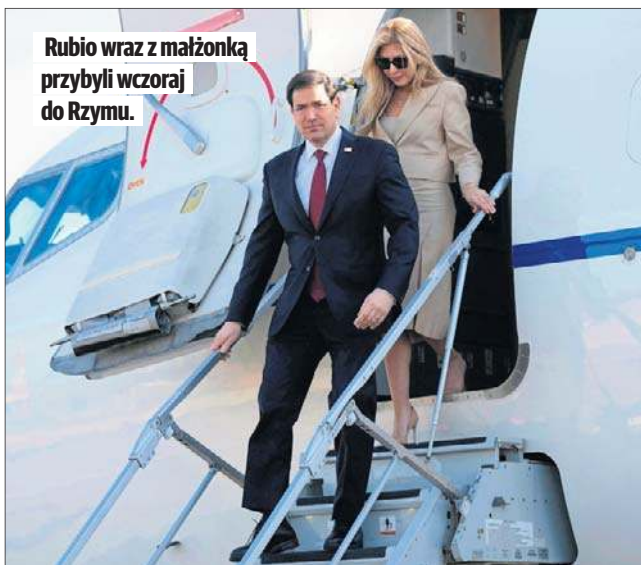
Alina Mazurska, PAP

Wczoraj rano przybył do Rzymu sekretarz stanu Stanów Zjednoczonych Marco Rubio, który tego dnia spotka się z papieżem Leonem XIV, a w piątek odbędzie rozmowy z premierem Włoch Giorgia Meloni.

O godz. 11.30 Rubio został przyjęty przez papieża Leona XIV na audyencji w Watykanie. To będzie ich drugie spotkanie. Pierwszy raz rozmawiali w dniu inauguracji pontyfikatu papieża z USA 18 maja zeszłego roku.

Do ich spotkania dojdzie w okresie bezprecedensowych napięć między Waszyngtonem a Stolicą Apostolską na tle wielu krytycznych wypowiedzi prezydenta USA Donalda Trumpa na temat Leona XIV.

Gdy Leon XIV zaapelował w kwietniu o pokój w Iranie i wezwał chrześcijan do skończenia z wojną oraz z „demon-



Rubio wraz z żoną przybyli wczoraj do Rzymu.

strowaniem władzy”, prezydent Trump opublikował na platformie Truth Social wpis, w którym ocenił, że papież jest „fatalny” w polityce zagranicznej. W opinii prof. Faggioli, profesora

teologii historycznej na katolickim uniwersytecie Villanova oraz historyka Kościoła Massimo, tego rodzaju spięcie w czasach nowożytnych nie zdarzyło się nigdy wcześniej.

Na uwagę, że Jan Paweł II także sprzeciwiał się inwazji na Irak za czasów prezydenta George'a W. Busha, profesor przypomniał, że polski papież nigdy nie poprosił amerykańskich wyborców o interwencję u ich przedstawicieli w Kongresie w sprawie deeskalacji wojny, jak zrobił to Leon XIV.

Papież stał się głosem opozycji, nawet jeśli tego nie chciał. Jest dziś najbardziej widocznym przeciwnikiem Donalda Trumpa na arenie międzynarodowej - ocenił Faggioli.

W poniedziałek prezydent Trump ponownie skrytykował papieża. W wywiadzie dla The Hugh Hewitt Show amerykański prezydent stwierdził, że Leon XIV uważa za dopuszczalne posiadanie przez Iran broni nuklearnej, co zagraża wszystkim katolikom.

Dzisiaj przed południem Marco Rubio spotka się z premierem Włoch Giorgia Meloni.

Drony nad Łotwą. Prawdopodobnie ukraińskie i atakowały rosyjski skład ropy

Grzegorz Kuczyński, PAP

Wczoraj wczesnym rankiem kilka bezałogowych statków powietrznych wleciało w przestrzeń powietrzną Łotwy od strony Rosji, dwa z nich spadły. Drony prawdopodobnie zostały wystrzelone przez Ukrainę przeciwko celom w Rosji.

W czwartek około godziny 3.30 czasu lokalnego na numer 112 wpłynęło kilka zgłoszeń dotyczących możliwego pożaru w magazynie ropy w mieście Rzeżyca. Leży on niedaleko linii kolejowej i supermarketu znanej sieci Maxima. Po przybyciu na miejsce zdarzenia strażacy stwierdzili, że nie ma otwartego ognia, ale podjęli niezbędne działania w celu schłodzenia

jednego ze zbiorników. Okazało się, że w skład ropy naftowej w mieście Rzeżyca (107 kilometrów granicy z Rosją, uderzył dron. Nie jedyny, jak wleciał wcześniej rano nad Łotwę. W związku z incydem poderwano myśliwce wielonarodowej misji NATO Baltic Air Policing. Agencja prasowa LETA podała wcześniej, że na miejsce skierowano policję, wojsko, straż pożarną i służby ratunkowe. Do Rzeżycy przyjechał też minister obrony. To on poinformował, że drony najprawdopodobniej są ukraińskie. Minister Spruds oświadczył, że „Ukraina ma pełne prawo do obrony i przeprowadzania uderzeń na cele znajdujące się na terytorium Rosji”.

Tego jeszcze nie było. Znany łódzki adwokat Paweł Kozanecki ścigany listem gończym! To największy skandal w dziejach łódzkiej palestry, zaś o prawniku, który wstawił się szokującą frazą „trumna na kółkach”, znów jest głośno w całej Polsce.

Ostatnio mecenas Kozanecki kroczy od katastrofy do katastrofy. Ich skala poraża i zdumiewa. Bo czy to normalne, aby szanujący się adwokat miał na koncie zarzuty prokuratorskie i sprawy karne w sądach?

A tak jest w przypadku prawnika od „trumny na kółkach”, któremu śledczy zarzucili ujawnienie tajemnic śledztwa oraz pomoc dilerom w ukryciu narkotyków przed „nalotem” policji.

Nic więc dziwnego, że łódzcy adwokaci są wstrząśnięci i zmieszani, zaś stróże prawa robią wszystko, aby pochwytać prawnika. Chodzi o to, że przyszli do niego w celu osadzenia za kratami, ale go nie zastali. Adwokat zniknął jak kamfora.

Dlatego Sąd Rejonowy w Olsztynie wystawił za nim list gończy i polecił policji schwytywanie ściganego. Zajęli się tym stróże prawa Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi, zaś Paweł K. znów stał się Pawłem Kozaneckim.

Śmierć kobiet jadących... „trumną na kółkach”

Jego fatalna passa zaczęła się w niedzielę 26 września 2021 roku na drodze między Barczewem a Jezioranami pod Olsztynem. Według prokuratury, kierowany przez prawnika mercedes zjechał na drugi pas jezdni i zderzył się czołowo z audi. Skutki były straszliwe. Dwie jadące audi kobiety w wieku 53 i 67 lat zginęły na miejscu. Okazało się, że Paweł Kozanecki, który był trzeźwy, wracał z żoną i dzieckiem z wesela znanej influencerki Martyny Kaczmarek.

Prokuratura zarzuciła mu spowodowanie wypadku drogowego, w którym zginęły dwie kobiety jadące - według prawnika - „trumną na kółkach”. Sprawa trafiła do Sądu Rejonowego w Olsztynie, który skazał go na dwa lata więzienia oraz 5-letni zakaz kierowania pojazdami mechanicznymi. Wyrok nie był prawomocny i obrońcy skazanego, którzy domagali się jego uniewinnienia, złożyli apelację.

Stąd proces odwoławczy w Sądzie Okręgowym w Olsztynie, który obniżył karę główną do 1,5 roku pozbawienia wolności. A to dlatego, że uznał, iż oskarżony spowodował tragiczny wypadek nieумыślnie, a nie - jak stwierdził sąd niższej instancji - умыślnie.



Za łódzkim adwokatem Pawłem Kozaneckim olsztyński sąd wystawił list gończy.

List gończy za łódzkim adwokatem!

Pogrzebane marzenia o dozorcze elektronicznym

A właśnie półtora roku pozbawienia wolności to maksymalna kara, do której można ubiegać się o jej odbycie w trybie dozoru elektronicznego. W praktyce wyglądałoby to tak, że prawnik mógłby odbywać karę w swoim domu zaopatrzonej w bransoletę elektroniczną, czyli nadajnik informujący służby nadzorcze o miejscu jego przebywania.

Być może właśnie ta kwestia stała się przyczyną tajemniczego zniknięcia adwokata, który nagle znalazł się między młotem a kowadłem. Z jednej strony sąd nie podjął jeszcze decyzji o „bransoletach”, a z drugiej przyszła pora stawienia się w zakładzie karnym. Stąd zapewne decyzja o czmychnięciu i zaszcyciu się w jakimś zakątku.

W ten sposób ścigany teraz listem gończym mecenas Kozanecki popełnił błąd i to dużego kalibru. Wcześniej czy później zostanie wytropiony i zatrzymany albo sam zgłosi się na policję, a wtedy raczej nie będzie miał żadnych szans na dozór elektroniczny i trafi prosto do więzienia.

Na tym sprawa tragedii pod Olsztynem nie skończyła się, bowiem prawnik skomentował ją w sposób iście kuriozalny. Z jego wypowiedzi wynikało, że kobiety, które zginęły w wypadku, same sobie są winne, bowiem jechały „trumną na kółkach”, czyli marnym samochodem. O frazie tej, która spotkała się z po-

wszechnym potępieniem, stało się głośno w całej Polsce.

Na adwokata posypały się gromy, także ze strony prawników, którzy nie mogli mu darować, że swoją - mówią bardzo delikatnie - niefrasobliwą wypowiedzią popsuł wizerunek łódzkiej palestry. Nic więc dziwnego, że Paweł Kozanecki decyzją prawomocną Wyższego Sądu Dyscyplinarnego w Warszawie został zawieszony na dwa lata w pełnieniu czynności zawodowych, co dla adwokata jest karą wyjątkowo dotkliwą.

Zdradził tajemnice śledztwa?

To nie jedyna taka kara. Otóż prokuratura zarzuciła mu, że zdradził tajemnice śledztwa członkowi gangu fałszywych policjantów, za co wziął pieniądze. Sprawa trafiła do Sądu Rejonowego Łódź - Śródmieście, gdzie odbył się proces.

Podczas mów końcowych prokurator Wiesław Łatkowski z Prokuratury Okręgowej w Zielonej Górze nie miał wątpliwości, że mecenas Kozanecki jest winny. Opisał sytuację, jak Adrian M. zwrócił się do oskarżonego o pomoc. Miała ona polegać na tym, że prawnik zostanie obrońcą Wiktora K., członka gangu oszustów wyłudających pieniądze metodą „na policjanta”, który niedawno został zatrzymany i objęty śledztwem prokuratury. Jako obrońca Wiktora K. adwokat miał się dowiedzieć, czy nie „sypie” w śledztwie i czy nie mówi

o swoich przełożonych w strukturach przestępczych. I tak się stało. W ten sposób Paweł Kozanecki miał uzyskać informacje ze śledztwa, które przekazał Adrianowi M., za co otrzymał 500 zł.

Efekt mów końcowych był taki, że prokurator Łatkowski zażądał dla prawnika kary dwóch lat więzienia, 20 tys. zł grzywny oraz 7-letniego zakazu uprawiania zawodu adwokata lub radcy prawnego. Dla odmiany broniący oskarżonego adwokat Władysław Marczewski wnioskował o uniewinnienie swego klienta.

Wyrok nieprawomocny zapadł w październiku 2025 roku. Mecenas Kozanecki został skazany na rok i 10 miesięcy ograniczenia wolności, co

oznacza, że w tym okresie będzie pracował społecznie w wymiarze 30 godzin na miesiąc. Ponadto został skazany na 3-letni zakaz wykonywania swego zawodu.

Pomógł dilerom ukryć narkotyki?

Na tym kłopoty Kozaneckiego nie kończą się, bowiem - według śledczych - jest zamieszany w kolejne przestępstwo. Chodzi o sprawę w kontekście „nalotu” policji na przestępców narkotykowych. Śledczy przypuszczają, że Paweł Kozanecki - działając wspólnie i w porozumieniu z żoną Pauliną, która też jest adwokatem - dowiedział się od informatora o spodziewanej akcji policji, w porę

ostrzegł dwóch dilerów i pomógł im przenieść narkotyki - kokainę, mefedron i marihuanę - do innej kryjówki.

Dlatego oboje prawnicy w łódzkiej prokuraturze usłyszeli zarzuty pomocnictwa do udzielania substancji psychotropowych i odurzających. Ponadto stróże prawa podczas przeszukania ich mieszkania w Łodzi znaleźli 45 gramów marihuany. Stąd kolejne zarzuty. Prokurator zastosował wobec nich dozór policyjny i zakaz opuszczania Polski. Grozi im do 10 lat więzienia.

Śledztwo w tej sprawie - dla zachowania pełnej obiektywności i bezstronności - przeniesiono z Łodzi do Szczecina i niedawno - jak nas poinformowała prokurator Julia Szozda, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Szczecinie - przedłużono je do 27 maja br.

Dzwoni „papuga” i mówi, że musi się udać

Przypomnijmy, że Paweł Kozanecki jako obrońca brał udział w wielu znanych procesach dotyczących m.in. motorniczego Piotra M., który 6 stycznia 2014 roku po pijanemu na ul. Piotrkowskiej w centrum Łodzi potrafił ze skutkiem śmiertelnym trzy kobiety. Ponadto bronił na procesie Marzeny B. i jej kochanka Mariusza S., którzy w Łowiczu w nocy z 26 na 27 listopada 2017 ogłuszyli paralizatorem i zamordowali męża oskarżonej - Mirona B.

Było o nim też głośno, ale z zupełnie innego powodu. Otóż jako rokujący wokalista na instagramie wykonał zawierający wulgaryzmy utwór znanego rapera Maty pt. „Papuga”, w którym jako refren pojawia się fraza: - „Dzwoni „papuga” i mówi, że musi się udać”. Wyjaśnijmy, że „papuga” to potoczne, niezbyt chwalebne określenie adwokata. Nie jest wykluczone, że także teraz, w ukryciu, nuci sobie ten song.

Wiesław Pierzchała



Miejsce śmiertelnego wypadku pod Olsztynem.

Lodziankę Sandrę Bielicką, na co dzień pracującą jako lekarz stomatolog, obecnie możemy oglądać w popularnym teleturnieju The Floor. 28-latką od lat łączy wymagająca praca stomatologa z pasją do występowania przed kamerą. Zaczęło się jeszcze w dzieciństwie - od szkolnych jasełek, przez castingi i epizody w produkcjach takich jak „Zimna wojna” czy „Komisarz Alex”, aż po udział w znanym programie telewizyjnym.

Od Łodzi do studia w Holandii

Program „The Floor” realizowany jest w Holandii, gdzie spotykają się uczestnicy z różnych krajów. Wśród nich znalazła się także łodzianka, choć - jak sama przyznaje - jej droga do programu była dość nieoczywista.

Do udziału namówił ją znajomy. Początkowo podeszła do tego bez większego przekonania, bo wcześniej nie oglądała programu i nie do końca wiedziała, na czym polega jego fenomen. Dopiero później zaczęła nadrobić odcinki i zdecydowała się spróbować.

Po wysłaniu zgłoszenia temat na długo zniknął. Dopiero po kilku miesiącach otrzymała zaproszenie na casting w Warszawie.

- Zupełnie się tego nie spodziewałam, bo już o tym zapomniałam. Wysłałam zgłoszenie i temat na długo zniknął. Dopiero po kilku miesiącach dostałam zaproszenie na casting w Warszawie. To był cały dzień różnych zadań i rozmów - byłam zmęczona, ale jednocześnie zadowolona z tego, jak mi poszło - wspomina Sandra.

Informację o zakwalifikowaniu się do programu usłyszała w najmniej spodziewanym momencie.

- Byłam wtedy na Islandii, temat programu był już dla mnie zamknięty, bo kompletnie o nim zapomniałam. Telefon z TVN-u był ogromnym szokiem - przyznaje.

Od Radogoszcza do pierwszych występów

Sandra Bielicka wychowała się na łódzkim Radogoszczu. Jest absolwentką XXI Liceum Ogólnokształcącego im. Bolesława Prusa.

- Byłam trochę kujonką. Bardzo lubiłam się uczyć, szczególnie przedmioty ścisłe. Matematyka, biologia, czy chemia nie były dla mnie żadnym problemem - wspomina.

Dzisiaj mieszkańcy kojarzą ją głównie jako dentystkę, ale jej przygoda z mediami zaczęła się już w dzieciństwie

- Mając trzy lata pojawiłam się na łamach „Expressu Ilustrowanego”. To było zdjęcie z ulicy Piotrkowskiej. A później, kiedy miałam osiem lat, dostałam główną rolę w jasełkach i wtedy poczułam, że scena to coś dla mnie - opowiada.

**Sandra
- dentystka
i aktorka
amatorka
z Łodzi**



Na codzień Sandra spełnia się jako dentystka.



Łodzianka wystąpiła w scenie ze znaną aktorką Joanną Kulig w filmie „Zimna Wojna” w reżyserii Pawła Pawlikowskiego.

Od tego czasu regularnie brała udział w castingach.

Stomatologia i pierwsze doświadczenia na planie

Mimo zamiłowania do występowania przed kamerą zdecydowała się na stabilną ścieżkę zawodową i wybrała stomatologię na Uniwersytecie Medycznym w Łodzi.

- Studia były dla mnie jednym z najbardziej wymagających okresów, ale udało mi się przez nie przejść, a nawet zdobyć stypendium rektora, co było dla mnie dużym wyróżnieniem. Zajęcia miałam od ósmej rano do wieczora, praktycznie zero życia prywatnego i sporo nieprzespanych nocy, więc musiałam skupić się wyłącznie na nauce - mówi.

Jeszcze przed ich zakończeniem zdobywała pierwsze doświadczenia przed kamerą. Pojawiła się m.in. w serialach

„Ultraviolet” i „Sędzia Anna Maria Wesołowska”, a także w „Komisarz Alex”.

- Ludzie wyjeżdżają do innych krajów na wakacje, aby poczuć takie pozytywne wibracje. Ja takie niesamowite odczucia mam właśnie w momencie, kiedy biorę udział w kolejnym castingu. Uwielbiam ten dreszczyk emocji - dodaje.

Wystąpiła również w filmie „Zimna wojna” w reżyserii Pawła Pawlikowskiego.

- Na planie „Zimnej wojny” spędziłam kilka dni zdjęciowych. Grałam w scenie barowej obok Joanny Kulig i mogłam zobaczyć od środka, jak wygląda praca przy tak dużej produkcji. To było niesamowite doświadczenie, zwłaszcza że film później został nominowany do Oscara - opowiada Łodzianka w rozmowie z „Expressem Ilustrowanym”

„To coś więcej niż leczenie zębów”

Dzisiaj pracuje jako dentystka i - jak sama przyznaje - daje jej to ogromną satysfakcję.

- Praca w gabinecie daje mi poczucie spełnienia. Zdarza się, że pacjent wychodzi ze łzami w oczach, ale nie z bólu, tylko dlatego, że odzyskał uśmiech. To momenty, które zostają w pamięci - mówi. - Miałam też pacjentów, szczególnie dzieci, które na początku bardzo się bały, a po kilku wizytach same chciały leczyć kolejne zęby. To pokazuje, że ta praca ma sens, a moje serduszko się cieszy - dodaje młoda stomatolog.

Powrót do pasji i teleturniej „The Floor”

Kiedy skończyła studia, wróciła do castingów. To właśnie wtedy pojawiła się szansa na udział w „The Floor”

W teleturnieju The Floor przyszło jej zmierzyć się z kategorią „zwierzęta Azji”. Jak podkreśla, nie była to dziedzina, w której czuła się ekspertką.

- To nie była moja wymarzona dziedzina, raczej losowa, ale w tym programie trzeba się dostosować. Przyjęłam więc strategię, że od początku to moja wielka pasja... choć w rzeczywistości wcale tak nie jest - śmieje się Sandra. - Najchętniej wybrałabym coś związanego ze stomatologią albo szeroko pojętą medycyną.

Jak podkreśla, kulisy programu wyglądają zupełnie inaczej niż to, co widzowie oglądają w telewizji.

- Już w trakcie pobytu w Holandii jeden z moich kolegów z „podłogi” rozpuścił plotkę, że jestem bardzo dobrze przygotowana. Informacja szybko rozeszła się wśród innych uczestników. Uznałam, że nie będę tego dementować i dorzuciłam jeszcze, że „zwierzęta Azji” to moja wymarzona kategoria,

a w dzieciństwie zaczytywałam się w encyklopediach na ten temat - opowiada.

Za kamerami dzieje się znacznie więcej - uczestnicy układają strategię i próbują ocenić swoich przeciwników. W praktyce to gra psychologiczna, w której często wygrywa nie tylko wiedza, ale też spryt.

Jedno jest pewne. W najbliższym czasie o Sandrze Bielickiej jeszcze usłyszymy.

Jakub Mlonka



W teleturnieju „The Floor” łodzianka wylosowała kategorie „zwierzęta Azji”.



Maria Deskur: - Dziś w Polsce mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom.

Bez czytania możemy się cywilizacyjnie cofnąć

Prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Groźniejsze jest to, że czytanie zostanie przywilejem wąskiej warstwy, która będzie budować koncentrację i kompetencje, a duża część społeczeństwa nie zobaczy przyjemności ani w lekturze, ani w poruszaniu własnego mózgu - mówi Maria Deskur, prezeska Fundacji Powszechnego Czytania.

Aby zmienić postrzeganie czytania przez społeczeństwo i decydentów, Fundacja Powszechnego Czytania zorganizowała w Warszawie konferencję Literacy for Democracy. Co takiego się stało, że czytanie przestaje być tylko miłym, dobrym nawykiem, a staje się sprawą strategiczną?

To bardzo dobre pytanie. Jak mówi Maryanne Wolf, profesorka neuronauki i znana amerykańska badaczka mózgu czytającego, jeśli nie będziemy dbali o to, co ona nazywa głębokim czytaniem, czyli o linearnie, długie czytanie książek, zatracimy umiejętność, które sprawiły, że jako cywilizacja stworzyliśmy demokrację. To jedno. Druga odpowiedź pojawia się w słynnym Ljubljana Manifesto on Higher-Level Reading, czyli manifestie czytelnictwa z Lublany.

Jego autorzy, badacze czytania i neuronaukowcy, mówią o tym w kontekście rozwoju sztucznej inteligencji. Zwracają uwagę, że musimy ćwiczyć mózgi, żeby radzić sobie w świecie, w którym coraz ważniejsza staje się umiejętność oceny treści. Łączą to z zalewem dezinformacji, z potrzebą budowania krytycznego myślenia, innowacyjności, kompetencji komunikacyjnych, rozmowy i współpracy z innymi. I pokazują, że czytanie właśnie to nam daje. Myślę, że ważnym elementem tej rozmowy jest świadomość, że czytanie, podobnie jak ruch fizyczny, jest strategicznym elementem dobrostanu społecznego.

Można rzec, że demokracja zaczyna się wcześniej niż przy urnie wyborczej, bo w domu, w pierwszym kontakcie dziecka z językiem?

Można tak to ująć i bardzo mi się to ujęcie podoba. Kiedy mówimy o pierwszych latach życia dziecka, dotykamy sfery pediatrycznej i psychologicznej. Oczywiście neuronaukowcy także się tym zajmują, ale bardzo mocno mówią o tym również pediatrzy. Na naszej konferencji pojawi się Dana Suskind z Chicago, profesorka pediatrii i chirurgii, która dużo mówi o bogactwie językowym. Nie zajmuje się czytaniem w wąskim sensie, mówi raczej o tym,

że dziecko musi być otoczone słowami, bogactwem słownictwa, językiem. A to oczywiście łączy się z książką, bo książka jest jednym z najlepszych narzędzi tworzenia zdrowego środowiska rozwojowego dla dziecka. Daje różnorodność słów, bogactwo języka i pojęć. Suskind mówi też o podmiotowości małego człowieka, o budowaniu jego mózgu, o namnażaniu się synaps. To jest opowieść o tym, że powinniśmy od samego początku upodmiotawiać dzieci. Sprawiać, żeby panowały nad językiem, którym się posługują. Żeby miały narzędzia do wyrażania siebie, opisywania swoich emocji, potrzeb, myśli. Żeby mogły dochodzić do własnych wniosków. I to rzeczywiście jest budowanie, od urodzenia, świadomych uczestników demokracji. Najpierw małych ludzi, potem coraz większych, a w końcu nas wszystkich jako wspólnoty. Pomaga nam to na wielu poziomach. Wspominałam o nowych technologiach i dezinformacji, ale lekarze zwracają też uwagę na stabilizację emocji. Czytanie i język pomagają również w rozwoju poznawczym mózgu, w namnażaniu się synaps, w rozwoju struktur, które później pozwalają dziecku wybrać swoją drogę, zawód, kierunek życia. Mówiąc najprościej: jeśli mózg jest dobrze rozwinięty, człowiek może pójść w bardzo

różne strony i dokonać bardziej autonomicznego wyboru. Ale to także rozmowa o odporności. Dziś odmieniamy to słowo przez wszystkie przypadki: odporność psychiczna, emocjonalna, społeczna, asertywność. A odporność społeczności bierze się między innymi z tego, że potrafimy się komunikować, umiemy coś razem wypracować, razem działać. W tym sensie wszystkie wielkie wyzwania współczesności skupiają się jak w soczewce w pytaniu o czytanie. Powiedziałabym, że chodzi o to, jak użyć czytania jako narzędzia do mierzenia się z wyzwaniami współczesności.

Jakie dzieci wychowujemy, jeśli od pierwszych lat oddajemy ich uwagę ekranom, a nie językowi i rozmowie? Dziś telefony komórkowe montowane są nawet w wózkach, żeby dziecko podczas spaceru mogło oglądać bajkę.

Daleka jestem od oskarżania rodziców, bo wielu robi to zupełnie nieświadomie. Ale fakt jest faktem: mamy dziś dużo badań pokazujących, że małe dziecko do rozwoju mózgu, koncentracji, stabilności i pewności siebie potrzebuje kontaktu z drugim człowiekiem, a nie z ekranem. Ekran oczywiście dziecku cieszy. I to jest pułapka. Coś się rusza, coś miga, można

klikać. Ekran kradnie uwagę, bo wymaga od mózgu mniejszego wysiłku niż rozmowa, zabawa, obserwowanie świata. A do rozwoju potrzebujemy wysiłku. Wróć do porównania ze sportem. Żeby się ruszać, trzeba wstać z kanapy. Ale jeśli dziecko dużo biega, nie postrzega tego jako obowiązku. Dla niego to zabawa. Ktoś mu pokazał, że bieganie, kopanie piłki, spacer, chodzenie po górach czy ruch w parku są fajne. Przy dużym wysiłku, jak udział w maratonie, wydziela się dopamina. To ogromny wysiłek dla ciała, a jednak dziesiątki, setki tysięcy ludzi biorą udział w maratonach, bo sprawia im to przyjemność. Z czytaniem jest podobnie. Scrollowanie to pasywna aktywność, to symboliczne siedzenie na kanapie. Wiele osób to lubi, ale to nie znaczy, że jest to dla nich dobre. Jeśli komuś nie pokazano, że ruch może być przyjemnością, łatwo wejdziesz w tryb życia, który z medycznego punktu widzenia nie jest najlepszy. Podobnie jest z ekranami. Z punktu widzenia rozwoju małych dzieci bardzo wczesne dawanie im ekranów nie pomaga. Dziecko powinno czasem trochę się ponudzić, obserwować przyrodę, a przede wszystkim być w relacji z drugim człowiekiem. Oczywiście to oznacza wysiłek rodzica. Zdaję sobie sprawę, że płaczące dziecko najłatwiej uciszyć telefonem. Ale

powinniśmy chcieć zrozumieć, o co mu chodzi, nawet jeśli jeszcze nie mówi. Wziąć je na ręce, sprawdzić, czy coś mu się nie stało, czy nie jest głodne, czy czegoś nie potrzebuje. A kiedy jest starsze - to wchodzić z nim w interakcję. Dom jest pierwszą przestrzenią ćwiczenia relacji społecznych. Dziecko potrzebuje rozmowy, bliskości, obecności. Potrzebuje czasem pokłócić się z rodzicem, postawić mu się, zobaczyć, że rodzic na coś się zgadza, a na coś nie. Że jest reakcja. Że coś jest dobre, a coś niedobre.

Dzisiaj dzieci bardzo szybko uczą się obsługi nowoczesnych urządzeń. Znacznie wolniej uczą się cierpliwości, skupienia uwagi. Co dobrego daje czytanie? Dlaczego Fundacja Powszechnego Czytania tak mocno apeluje właśnie o czytanie?

Mam poczucie, że jako cywilizacja wykonaliśmy ogromną pracę w bardzo dobrym kierunku: udostępniania wiedzy wszystkim. Obowiązkowa edukacja była miłym krokiem. Cała populacja została włączona w edukację, możliwości rozwojowe, w obietnicę równych szans. Telefon komórkowy również może być genialnie demokratycznym narzędziem. Każdy z nas ma, przynajmniej teoretycznie, dostęp do wszelkiej wiedzy. Ale jeśli jako społeczeństwo nie nauczymy się używać tego narzędzia tak, żeby nam sprzyjało, a nie obniżało nasz potencjał, na drodze ku równym szansom możemy się zatrzymać albo nawet cofnąć. Marzeniem cywilizacyjnym jest przecież to, żeby każde dziecko dostawało publiczną edukację i miało szansę zostać tym, kim zechce. To niezwykle, że żyjemy w takim miejscu świata, w którym możemy w ogóle o tym rozmawiać. Jeśli pozwolimy, żeby telefon zamiast stać się kolejnym narzędziem demokratyzacji, stał się narzędziem pogłębiania różnic w wykształceniu, to będzie bardzo źle. Widać już pewien paradoks. Ludzie z Doliny Krzemowej, twórcy największych firm technologicznych i mediów społecznościowych, wysyłają własne dzieci do szkół, w których technologii prawie nie ma albo nie ma jej wcale. Bo wiedzą, jak bardzo media społecznościowe uzależniają. Sami je stworzyli. Myślę więc, że prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Niebezpieczeństwem polega raczej na tym, że pozostanie wąska warstwa, która nadal będzie czytać, budować koncentrację i kompetencje rozwijane przez czytanie, a duża część społeczeństwa nie będzie poświęcała czasu ani na ruch fizyczny, ani na poruszanie własnego mózgu. I, co równie ważne, nie zobaczy przyjemności

ani w jednym, ani w drugim. Prawdziwe wyzwanie cywilizacyjne brzmi więc: jak sprawić, żeby przyjemność ruchu fizycznego i przyjemność czytania stały się powszechne? Wracając do pani pytania, dlaczego czytanie jest tak istotne: dzięki niemu możemy stawać się tym, kim chcemy. Czytanie buduje nasze mózgi. I to w każdym aspekcie, bo mózg to nie tylko wiedza. To także umiejętność łączenia faktów, rozumienia związków przyczynowo-skutkowych, analizy, syntezy, matematyki, fizyki, nauk ścisłych. Jest wiele badań pokazujących, że osoby czytające są lepiej przygotowane do rozumienia pojęć z nauk ścisłych. Ale jest też cała sfera społeczna. Mózg ma wymiar relacyjny. Budujemy neurony lustrzane, ćwiczymy się w rozumieniu drugiego człowieka, we współpracy, we współtworzeniu. Światowe Forum Ekonomiczne wśród najważniejszych kompetencji przyszłości wymienia wiele takich, które dotyczą współpracy, kreatywnego myślenia, pracy z ludźmi i przywództwa. To wszystko. mniej lub bardziej wprost, bierze się z tego, że pozwalamy sobie w szybkim świecie na powolne, głębokie skupienie na treściach. Czytanie ćwiczy mózg w czymś, do czego on wcale nie został pierwotnie stworzony. Nie ma w nim jednego miejsca odpowiedzialnego za czytanie. Żeby nauczyć się czytać i żeby czytać, uruchamiamy bardzo wiele obszarów mózgu. I właśnie dlatego czytanie jest tak dobroczynne. Powoduje, że nasz mózg zaczyna pracować na bardzo wysokich poziomach.

W programie konferencji, obok naukowców, edukatorów i przedstawicieli Komisji Europejskiej, znaleźli się także przedstawiciele biznesu. Czytanie może być dziś postrzegane również jako warunek konkurencyjności? To już nie jest tylko sprawa humanistów?

Zdecydowanie. To jedna z podstawowych prawd. Przyzwyczajiliśmy się myśleć w pewnych torach. Tak są też zorganizowane nasze państwa: jest silos kultury, silos edukacji. Promocja czytelnictwa przypisana jest zwykle do silosu kultury. Zajmuje się nią Ministerstwo Kultury, na poziomie gminy wydział kultury, na poziomie europejskim komisarz do spraw kultury. To naturalne, bo społeczeństwa muszą być zorganizowane i trzeba dzielić obowiązki. Ale wyzwaniem jest uświadomienie sobie, że czytanie nie jest wyłącznie domeną humanistów. Oczywiście, że czytanie buduje kody kulturowe, naszą identyfikację, na poziomie regionu, państwa, kontynentu. Ale z punktu widzenia nauki Maryanne Wolf bardzo dobrze to ujmuje: zanim w ogó-

le rozpoczniesz rozmowę o wartości literackiej tekstu i kodach kulturowych, które on niesie, kiedy czytasz książkę, twój mózg już dostał całą pulę ćwiczeń analitycznych, syntetycznych, ćwiczeń krytycznego myślenia, zauważania perspektyw innych niż własna. Czyli uczenia się, że ktoś inny myśli inaczej. To wszystko dzieje się, zanim to zauważysz. Czytasz książkę, a twój mózg wykonuje ogromną pracę. Dlatego zanim zaczniemy rozmowę o jakości literackiej, kodach kulturowych czy kulturze wynikającej z tego, że czytamy te same książki, trzeba zobaczyć podstawowy poziom: czytanie jest treningiem mięśni mózgu. Ćwiczeniem operacji myślowych, które później decydują o tym, co jesteśmy w stanie zrozumieć, stworzyć i zrobić.

Celem Fundacji Powszechnego Czytania jest osiągnięcie 70 procent czytelnictwa w Polsce. Co praktycznie zmieniliby się w państwie, gospodarce, relacjach społecznych, gdybyśmy taki poziom osiągnęli?

W wielu krajach prowadzi się badania pokazujące, że wyższy poziom czytelnictwa przekłada się na PKB. W Polsce nie znam takich wyliczeń, więc trudno mi byłoby mocno się na nie powoływać. Natomiast wiemy, że większa liczba osób czytających w danej społeczności oznacza lepszy poziom komunikacji i mniejsze rozwarstwienie społeczne. To są rzeczy, do których dążymy. Sprowadźmy to do konkretnego

przykładu. Dziś w Polsce mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom. To znaczy, że mniej więcej połowa dzieci przychodzi do szkoły zasadniczo do niej nieprzygotowana: psychicznie, emocjonalnie, ale też kompetencyjnie. One już na starcie są w bardzo trudnej sytuacji. Gdybyśmy doprowadzili do tego, że czytałoby 70 procent dorosłych i 70 procent rodziców czytałoby dzieciom, mielibyśmy o 20 punktów procentowych więcej dzieci, które przychodzą do szkoły lepiej przygotowane. Dla których szkoła nie zaczynałaby się od traumy. To bardzo konkretna i ogromna korzyść społeczna.

Co z pomysłem Fundacji dotyczącym książki na receptę? Czy pediatra może dziś być sojusznikiem czytania?

Pediatrzy już są naszymi sprzymierzeńcami. W tym roku w nowym wydaniu podręcznika do pediatrii, wydawanym przez Medycynę Praktyczną, a to podręcznik, z którego szeroko korzystają pediatrzy w Polsce, zostaje dodany rozdział poświęcony badaniom pokazującym, jak bardzo dzieci od urodzenia potrzebują czytania i rozmowy. W tym samym rozdziale opisano, jak rekomendacje dotyczące czytania można wprowadzić do każdej wizyty w gabinecie, czyli do standardów pediatrycznych. To oznacza, że pediatrzy stają się naszymi sprzymierzeńcami systemowo. Nie chodzi już o to, że jeden, dwóch czy pięciu lekarzy będzie to robić z własnego przekonania. Chodzi o zmianę, która

z czasem wejdzie w krwiobiegu. Następne pokolenie pediatrów będzie miało tę wiedzę w swoim wykształceniu. Będzie przestrzegało rozmowę, czytanie i dzielenie się książką z dzieckiem jako część medycyny. Ogromnie się z tego cieszymy. Do tej pory współpracują z nami już setki pediatrów w Polsce, ale to są ludzie, którzy nie uczyli się tego na studiach. Uczono ich o tym, że ważny jest ruch fizyczny, warzywa, witaminy, obok całej gigantycznej wiedzy pediatrycznej. Natomiast rozmowa o książkach, wspólnym czytaniu, dzieleniu się książkami od najwcześniejszych miesięcy życia, to w Polsce novum. I nie tylko w Polsce. W wielu krajach pediatrzy stają się dziś bardzo ważnymi sprzymierzeńcami czytania.

Konferencja stawia pytanie o wsparcie rodziców i opiekunów, jako tych, którzy kształtują młode umysły. Jakiego wsparcia potrzebują tu rodzice?

Przede wszystkim informacji. Kiedy rodzi się dziecko, wielu rodziców uczestniczy w szkołach rodzenia. Potem pojawiają się neonatolodzy, pediatrzy. I właśnie tam mogłoby pojawić się bardzo ważne wsparcie: jasna informacja, dlaczego rozmowa, obecność i książka są tak ważne od samego początku. Bo jeśli nam w dzieciństwie czytano, jeśli mieliśmy książki w domu i było to naturalne, jest duża szansa, że będziemy czytać własnemu dziecku. Albo wystarczy, że ktoś nam o tym przypomni, i to wróci. Ale w Polsce, podobnie jak w wielu społecz-

nościach w Europie, jest część ludzi, która takiego doświadczenia nie ma. Są rodzice oczekujący dziecka, którym nikt w dzieciństwie nie czytał. Oni mogą po prostu nie mieć takiego pomysłu. Dlatego rodzice potrzebują informacji: kiedy dziecko się rodzi, jego mózg jest neuroplastyczny. Żeby mógł się rozwijać, żeby wydobyć z niego cały potencjał, potrzebna jest obecność, rozmowa pełna bogactwa językowego i czas. Na początku trzeba się z dzieckiem książkami bawić: pokazywać obrazki, dawać książkę do ręki, pozwalać, żeby dziecko samo doświadczało kontaktu z książką. Warto szybko wciągając je w interakcję. A potem przychodzi czas na opowieści. To jest informacja, której część rodziców po prostu nie ma. Drugi element to sprawdzone na świecie programy, które zachęcają rodziców, by zaczęli bawić się książką w domu. Anglicy mówią: sharing books, czyli dzielenie się książką. Na wczesnym etapie rozwoju dziecka często unikają nawet słowa reading - czytanie, bo nie chodzi o to, żeby posadzić niemowlaka i czytać mu długi tekst. Chodzi o interakcję, wspólne skupienie. Jeden z profesorów pediatrii używa określenia: niespieszny czas. To dobrze oddaje sens tej praktyki. Chodzi o bycie bez pośpiechu, koncentrację, budowanie w dziecku poczucia: rodzic poświęcił mi czas, jestem ważny. Drugim bardzo ważnym elementem są programy, w których rodzic przychodzący do pediatry usłyszy o korzyściach płynących z rozmowy i czytania z dzieckiem, i po prostu dostanie książ-

kę w przychodni. Tym właśnie jest książka na receptę. Wysyłamy bezpłatnie książki do przychodni. Tam, gdzie lekarze potwierdzą, że są gotowi je rozdáwać, mogą połączyć przekazanie książki z krótkim komentarzem. Chcemy zaprosić do czytania przede wszystkim tych ludzi, którzy sami takiego doświadczenia nie mieli. Tych, którym z takiego czy innego powodu rodzice nie czytali. Prawdopodobnie część z nich należy dziś do grupy około 30 procent polskiej populacji, która nie ma w domu żadnej książki. Jeśli więc ma się wydarzyć sytuacja, o którą zabiegamy, książka musi znaleźć się w ręku rodzica. Międzynarodowe organizacje, takie jak brytyjski BookTrust, szkocki Scottish Book Trust czy włoskie Nati per Leggere, od dawna pokazują w swoich ewaluacjach, że samo mówienie: „Czytajcie dzieciom”, bez doprowadzenia do tego, żeby książka była w zasięgu ręki rodzica, daje dużo słabsze efekty. Bo inaczej pojawia się kolejna bariera. Powiedzieliśmy rodzicom, że to ważne, ale mama czy tata wraca do domu zabiegany, trochę zapomina, trochę nie ma czasu iść do księgarni, trochę nie wie, co właściwie miałby kupić takiemu małemu dziecku. I po prostu nic się nie wydarza. Jeśli mamy rodzicowi książkę, sytuacja się zmienia. On nadal wraca do domu zmęczony, zabiegany. Ale książka wyjęta z torby staje się przypomnieniem tego, co powiedział lekarz. I wtedy dajemy sobie nieporównanie większą szansę na to, że rodzic naprawdę zacznie się tą książką z dzieckiem bawić.

Anita Czupryń



Tomasza Górskiego ciągnęła do Czarnobyla chęć zweryfikowania obiegowych przekonań. - Miałem wrócić ze strefy śmierci schorowany i święcący w ciemności. Mitotwórczość tego miejsca jest nieprawdopodobnie gigantyczna!

Minęło 40 lat od momentu, gdy 26 kwietnia 1986 r. niebo w okolicy Prypeci, w obecnej Ukrainie, rozświetliła luna. Radioaktywny materiał wydobywał się z uszkodzonego reaktora czwartego bloku elektrowni atomowej w Czarnobylu. Tak było naprawdę. - Jednak z czasem mity na temat katastrofy zaczęły mieszać się z faktami. Z biegiem lat coraz trudniej ocenić, co jest fikcją, a co rzeczywistością tam się stało. Mitotwórczość tego miejsca jest nieprawdopodobnie gigantyczna - podkreśla Tomasz Górski, bydgoski „poszukiwacz tajemnic”, z wykształcenia archeolog i psycholog, z zamiłowania podróżnik.

„Nie było żadnego grzyba atomowego”

To nie jest przypadek, że spotykamy się na terenie po byłym, bydgoskim Zachemie. Dokładnie przy rampie, która służyła do załadunku i wyładunku towarów. Na dole wciąż są nieużywane tory kolejowe (złomiarze jeszcze ich nie rozkradli), którymi kiedyś przyjeżdżały cysterny z chemikaliami.

- Mnie to miejsce kojarzy się ze strefą czarnobylską. Tam również linia torów kolejowych, tzw. eksterytorialna, przez teren Białorusi biegnie do samej elektrowni, czyli miejsca, w którym 40 lat temu doszło do pamiętnej katastrofy - wspomina pan Tomasz.

Skąd wzięła się jego fascynacja Czarnobylem? - Obejrzałem w telewizji film „Dzwony Czarnobyla”, wyprodukowany w 1996 r. Opowiadał, co działo się 10 lat od wybuchu reaktora. Była w nim pokazana Prypeć (obwód kijowski), czyli legendarne, opuszczone miasto duchów. I pojawiła się ogromna chęć, żeby je zobaczyć. Długo nie dawało mi to spokoju, aż pojawiła się możliwość, żeby tam pierwszy raz w życiu pojechać, w 2008 r. Wówczas nie było to miejsce modne, a raczej wypad tylko dla ekscentryków. Gdy powiedziałem, że wybieram się do Czarnobyla, niektórzy pukali się w głowę: „wrócisz ciężko chory” lub „w ogóle nie wrócisz” albo „będziesz świecił w ciemnościach”.

Opowiada, że rzeczywistość okazała się zupełnie inna: - Dziś już wiemy z perspektywy czasu, że do wybuchu wojny w Ukrainie była to prawdziwa perełka turystyczna. Zjeżdżały tam tysiące osób i przewodników. Ci przewodnicy mówili, że po emisji serialu „Czarnobyl” zaczął się taki napływ turystów.

Najbardziej pamięta swoje pierwsze wyjazdy, gdy strefa była nieznana i to, jak zderzył



Pan Tomasz w sterowni bloku czwartego czarnobylskiej elektrowni. Dokładnie w nim doszło do katastrofy w 1986 r.

Był kilkanaście razy w Czarnobylu!

się z mitem: - Wystarczy wpisać Czarnobyl w Google i mamy obraz katastrofy: tysiące ofiar, olbrzymi obszar skażenia na tysiące lat, nic tam nie żyje, nic się nie dzieje, strefa śmierci. Youtuberzy nagrywali filmiki: „Byliśmy w Czarnobylu, nawet ptaki nie śpiewają”. Bzdury! Słyszałem ptaki, wiele ptaków. Dziś to ogromny rezerwat przyrody, raj dla zwierząt, który powstał na bazie czegoś ekstremalnie tragicznego. Można było normalnie wejść - relacjonuje i od razu tłumaczy się, że nie odwiedził strefy od wybuchu wojny w Ukrainie: - Na pewno teren jest zaminowany, stacjonowały tam wojska rosyjskie. Po wojnie trudniej tam będzie pojechać, bo przecież w Ukrainie są ważniejsze miejsca do rozminowania niż Czarnobyl.

Gwoli wyjaśnienia: wraz z upadkiem ZSRR zamknięta strefa wokół Czarnobylskiej Elektrowni Atomowej uległa podziałowi na dwie części: Ukrainą i Białoruską. Obie znacznie się od siebie różnią i są zarządzane niezależnie od siebie. Strefa ukraińska jest bardziej znana i łatwiej dostępna. To tam znajduje się elektrownia, miasteczko Czarnobyl oraz słynne „opuszczone miasto” Prypeć. Strefa białoruska przez wiele lat była niedostępna dla osób z zewnątrz. Jest tam mnóstwo opuszczonych wsi, utworzone też „Państwowy Rezerwat Ekologiczny Polesie”.

Według bydgoskiego „poszukiwacza tajemnic”, katastrofa jest już mitem samym w sobie: - W filmach popularnonaukowych widzimy, że nagle doszło do potężnego wybuchu. Kojarzę scenę, jak rodzina je kolację i w ułamku sekundy do-

mem mocno trzęsie, a gdzie za oknem widać na horyzoncie grzyba atomowego. Nic takiego się nie wydarzyło! Katastrofa była bowiem rozciągnięta w czasie.

Ktoś wymyślił, żeby przeprowadzić eksperyment, jak zachowa się reaktor w przypadku zaniku zasilania: - Wyznaczono już nawet datę próby i przeszkolono do tego załogę. Wtedy z Kijowa przyszła informacja, że trzeba wstrzymać test w związku z bardzo dużym zapotrzebowaniem na prąd. Zaczęto więc ten dzień przesuwac w czasie. W tzw. międzyczasie zmieniali się ekipy pracowników i przychodzili koleni, mniej zorientowani w temacie. W końcu przeprowadzono eksperyment w nocy i uruchomił on lawinę zdarzeń. Jednak nie doszło, jak jest to przedstawiane, do wielkiego wybuchu nuklearnego z grzybem atomowym. Ciśnienie rozsadziło metalową konstrukcję, która zawierała materiał radioaktywny. Zaczął się wydostawać na zewnątrz. Pierwsza eksplozja była mała, kolejna to wybuch chemiczny wodoru i wtedy też zginęła pierwsza osoba, Walerij Chodemczuk. Był w tym momencie w pobliżu płyty reaktora, jego ciała nigdy nie znaleziono.

Dodaje, że w przypadku ogólnej liczby ofiar, także mamy do czynienia z bardzo dużym rozrzutem: - Internet „informuje” nawet o tysiącach ofiar, natomiast w samej katastrofie, pożarze reaktora, zginęło 35 osób. Choć i to może być zawyżony wynik, bo wśród tych 35 ofiar były cztery, które znalazły się tam zupełnie przypadkowo. Mit to również opowieści, jak przebiegała ewakuacja, że ludzi zabrano i nie mo-

gli tam wrócić. Miałem okazję rozmawiać z mieszkańcami Prypeci. Wspominali, że najpierw pojechali do specjalnych obozów, potem przeniesiono ich do różnych hoteli robotniczych i był też czas, że pozwolono im wrócić, aby zabrać swoje rzeczy, odzież czy nawet meble. Często przydzielano rodzinom mniejsze lokale i część przedmiotów już nie była im potrzebna.

Dziś wyobraźnię rozbudza samotne przejście ulicami pustej Prypeci: - Mnie przypomina osiedle Błonie w Bydgoszczy sprzed 30 lat. Błonie bez ludzi. W Prypeci są tylko pracownicy strefy czarnobylskiej. Pilnują, żeby nie była rozkradana. Jednak lokalni złomiarze działają.

Oczywiście, są miejsca bardziej skażone, gdzie chmura osiadała, jak m.in. w okolicy Czerwonego Lasu. Ale np. przy ścianie sarkofagu elektrowni (stalowa powłoka ochronna reaktora jądrowego, zbudowana po katastrofie) jest teraz promieniowanie radioaktywne mniej więcej na poziomie jak w Indiach (Rejon Kerala), gdzie ludzie normalnie żyją.

Tomasz Górski był w kilku lokalizacjach „grozy”, np. w sławnym czwartym bloku elektrowni, na płycie reaktora, gdzie doszło do wybuchu (łącznie znajdują się tam właśnie cztery bloki): - On robi największe wrażenie. Ta pustka, surowość miejsca, lecąca woda radioaktywna. Gdy pojechałem do Czarnobyla pierwszy raz, dużym wyczynem było w ogóle wejście do samej elektrowni, dwóch pierwszych bloków, z czasem strefa coraz bardziej się otwierała. W czwartym bloku byłem z kolegą. Oprowadzał

nas pan, który miał klucze do wszystkich miejsc. Zapytał: „Panowie, to co chcecie zobaczyć?”. I tak zobaczyliśmy wszystko, co tylko się dało.

Kombinezony strażaków. One wciąż promienią

Przypadkiem zobaczył słynne zdjęcie ciężko chorego dziecka - „Igora z Czarnobyla”: - Mały chłopiec miał być zdeformowany, bo jego mama będąc w ciąży została napromieniona. Nieszczęście Igora nie miało jednak związku z katastrofą. W jego życiu płodowym pępownina owinęła się wokół nóżek i to miało dramatyczne skutki. Historie opowiadane także o innych niepełnosprawnych dzieciach też można między bajki włożyć.

Pan Tomasz nie kryje, że od początku ciągnęła go do Czarnobyla właśnie potrzeba weryfikacji mitów. Wciąż powstają nowe. Kit dosłownie sprzed tygodnia, gdy była 40-rocznica katastrofy: - Wydawać by się mogło, że oglądam poważny program w telewizji. Była rozmowa ze strażakiem, który uczestniczył w akcji gaszenia pożaru w 1986 roku. Opowiadał niestworzone rzeczy. Mówił, że przyjechali gasić ogień i wykonali niesamowitą pracę, bowiem, gdyby nie ich działalność, to doszłoby do wielkiego wybuchu. Tymczasem nie było wybuchów jądrowych. Tak to wygląda, że z czasem fikcja miesza się z rzeczywistością, że coraz trudniej ocenić, co było naprawdę.

Czy pan Tomasz znalazł się kiedyś w sytuacji zagrożenia? - Tak, w podziemiach szpitala w Prypeci. Trafili do niego strażacy, którzy uczestniczyli w początkowej akcji opanowywania pożaru. Oni najbardziej ucierpieli, zmarli po kilku dniach na chorobę popromienną. Straszny cierpieli. Ich kombinezony trafiły do ponurych piwnic szpitala. Będąc tam, wiele lat po katastrofie, musiałem je niechętnie musnąć butem. Leżało tam mnóstwo różnych przedmiotów, szmaty, widziałem hełm czy butle po tlenie medycznym. Wraz z przesuwaniem się po korytarzach nasz licznik Geigera zaczął intensywnie narastać, aż przełączył się na tryb alarmowy. Wychodząc ze strefy przechodzi się kontrolę promieniotwórczą. Przy mnie zapaliła się kilka razy czerwona lampka, znaczy „Groźno” (zielona to „czysto” i świadczy o braku napromieniania). Przeszedłem dezynfekcję i dopiero wtedy opuściłem strefę. Szok, że tyle lat minęło, a te kombinezony wciąż promienią. Szok.

Agnieszka Domka-Rybka



Rampa po bydgoskim Zachemie. „Tory jak w Czarnobylu”.

Jakie odgłosy wydaje żubr? - pyta opiekunka grupę wycieczkową kilkulatków. Cisza... Wreszcie z ust jednego z dzieciaków dobywa się: PSSSSSS... Po czym zupełnie poważnie i z dumą chłopiec wyjaśnia, że tak się dzieje, kiedy taśma otwiera butelkę z napojem.

Centrum Nauki „Łukasiewicz” działa w podrzeszowskiej Jasionce zaledwie trzy lata, a już obrosło podobnymi anegdotami. Bo też reakcje zwiedzających, dużych i małych, bywają zaskakujące. Reakcje na osiągnięcia nauki, z którymi na co dzień mają do czynienia, ale dotychczas nie wiedzieli, na jakiej zasadzie działają, na zjawiska fizyczne, z którymi nie raz się stykali, ale bez świadomości mechanizmów ich powstawania, na rzeczy oczywiste (dlaczego spływające w umywalce woda wiruje w prawo, a nie w lewo). Zdziwił tu nie brakujące, toteż zgiełk na obu piętrach PCN dzieciarni taki, jak podczas długiej przerwy w podstawówce.

Ofiarą tej fascynacji padł właśnie żubr, który stoi w towarzystwie m. in. niedźwiedzia naturalnej wielkości i niewiele mniejszego krokodyla. Żubr miał kiedyś piękne rzęsy, dziś błyska wielkimi, smutnymi oczyma, bo rzęsy dzieciaki powyrywały sobie na pamiętkę.

Jednak to nie dział przyrodniczy jest hitem PCN. Najbardziej oblegany jest wielki, prostokąty stół, na którego blacie widnieje obrazkowa instrukcja obsługi budowy samolotu z kartki papieru. I kartki, z których można te samoloty budować, więc dzieciaki z zapamiętaniem budują i ruszają na pierwsze obloty swoich aeroplanów do tunelu aerodynamicznego. Dla współpracujących z dziećmi instruktorów PCN wciąż zadziwiająca jest, że obecnie młodsza i starsza młodzież kiepsko radzi sobie z pracami manualnymi.

- Coś, co przed 30 - 40 laty potrafił każdy dzieciak w szkole, bez względu na płeć, dziś jest dla kilku kilkunastoletków doświadczeniem odkrywczym i absolutnie fascynującym - mówi jeden z instruktorów o czasach, kiedy takie samolotki fruwały stadami po klasach szkolnych.

Nie tylko dla nich, co potwierdza Maria Różycka-Dąbrowska, kierownik Zespołu Rozwoju i Współpracy PCN.

- Gościliśmy jakiś czas temu delegację samorządowców z Niemiec, a niektórzy byli w słusznym wieku - opowiada. - Nie sposób było ich od tej zabawy oderwać. Trzeba było dyskretnie przypominać, że delegacja ma swój program i harmonogram, że gospodarze na nich czekają, że są inne zaplanowane miejsca wizyt.

Odlatujemy z „Łukasiewiczem”

Kilkunastoosobowa grupa przedszkolaków czeka karnie



Hitem PCN jest symulator lotów, samolotowy kokpit, wolant, zegary, kontrolki i wszelkie tego typu urządzenia.

w kolejce do „bramki” lotniskowej. I detektora prześwietlającego bagaż. Kładą plecaczki na taśmę, detektor nie wariuje, bo niczego nagannego w nich nie dostrzega, ale pokazuje, jakie swoje skarby w środku dzieciak ukrywa. Spokój, dopóki nie podsunąć mu specjalnie przygotowanej walizeczki. Nagle ożywa, pobłyskuje alarmująco, dzieciaki przetrząsają walizkowe „kukułcze jajo”, a kiedy jeden z nich wyciąga imitację pistoletu, z kilkulatnich gardeł dobywa się zbiorowe „łaaaaa!”. Pewnego razu jedna z opiekunek takiej dziatwy odzyskała kółczyk, lata temu zgubiony. Wystarczyło, że przepuściła swoją torebkę przez skaner w „Łukasiewicz”.

Hitem jest symulator lotów, samolotowy kokpit, wolant, zegary, kontrolki i wszelkie inne takie urządzenia, jak w prawdziwym załogowcu, od Cesny, przez wielkie liniowce, bo myśliwce wielozadaniowe. Ogromny ekran, na którym pilot widzi przed sobą i pod sobą świat, który napowietrznie przemierza, ruchoma podłoga kokpitu przechyla się w tył i przód. I na boki, kiedy prowadzony przez pilota statek powietrzny wznosi się, opada lub skręca. Ponoć ta zabawa do złudzenia przypomina

wrażenia z rzeczywistego lotu, nienawykłym do akrobacji lotniczych błędnie szaleje. A w słuchawkach, podczas kołowania i startu, komendy z wieży kontroli lotów.

- Regularnie bywają tu czynni piloci, którzy chcą „na suchą” sobie poćwiczyć, regularnie pojawia się dwóch chłopców, którzy uparli się, że chcą zostać pilotami, więc już przygotowują się na symulatorze do kariery - opowiada Katarzyna Janda-Boczar, specjalista ds. marketingu PCN

Na ekranie można wyświetlić sobie teren realny, polatać nad swoim domem, ulicą, tylko niektórzy uczniowie uparcie kończą lot uderzeniem w budynek swojej ukochanej szkoły. Przypadek?

Robale i pachnący kosmos

Fizyki tu mnóstwo, ale nie takiej szkolnej, z pozycji ławki i tablicy. Jest trochę optyki, więc młodzi ludzie (na ogół kilkunastoletkowie) zgłębiają tajemnice działania lustra weneckiego na zasadzie: widzę - nie widzę - (nie)jestem widziany i dlaczego tak się dzieje. W „sali kolorów” można przekonać się, że obraz oświetlany różnymi barwami może być różnymi obrazami.

Dwa wielkie, ustawione w odległości kilku metrów naprzeciwko siebie talerze też robią wrażenie. Wrażenie, że akustyka może być fascynująca. Siedzący twarzami do nich ludzie słyszą się, szepcząc do siebie zaledwie. I słyszą się wzajemnie doskonale w zgiełku dzieciarni, nie będąc słyszaniymi przez innych.

Jest hydrostatyka, a w specjalnym urządzeniu można wywołać wir wodny, postrzelać z „hydrokarabinka”. A zjawisk przyrodniczych też jest tu mnóstwo, tych żywych i tych nieożywionych. Błąd w wizerunkiem eugleny zielonej ściąga tłumki dzieciarni, choć euglena w wydaniu szkolnych nie jest tak interesująca. A tu jest, tu można ją nawet polubić: „gdybym tu był przed klasówką...” - zwierzył się bardzo młody człowiek, zapatrzony w euglenę.

- Tych najmłodszych najbardziej interesuje „pierwsze piętro”, czyli przyroda i technologie kosmiczne - zapewnia pani Katarzyna. - Nastolatków interesuje dział związany z ciałem człowieka i - o dziwo - akustyka. Czasem do specjalnej kapsuły ustawia się kolejka, bo można się w niej „wydzierać” do woli i w dodatku bezkarnie.

A są jeszcze spec-pracownie. W biologicznej może być emocjonująco, kiedy otrzyma się do spreparowania karalucha madagaskarskiego, największego z karaczanów na Ziemi. Początkowy wstręt do cięcia owada przeradza się w szal kroyenia i sprawdzania. Zabawa tylko dla dużych dzieci.

W pracowni chemicznej bywają dorośli, często wycieczki seniorów, jeszcze częściej pary.

- Nawet na randki tu się umawiają - zapewnia pani opiekująca się pracownią. - Pewnego razu pojawiła się grupa panów, by tu samodzielnie wykonać „fanty” dla swoich pań. Bo można tu samodzielnie skomponować perfumy, samodzielnie wykonać mydło z własną kompozycją zapachową. A zdarzyło się, że mężczyzna kupił bilet również dla swojej żony, nie przyznając się, dokąd zabiera ją na randkę z okazji 50. urodzin. Weszła do pracowni pełnej kwiatów i perfum. Była w szoku.

Dodaje, że nauka bywa tu międzypokoleniowa, jak wtedy, gdy w pracowni lab - tech dziadek z wnuczkiem budowali roboty (każdy swój), po czym urządzili między nimi zawody sprawnościowe.

- Często bywa, że przychodzą do nas ojcowie z dziećmi i jeśli po kilku godzinach dzieci już są nieco zmęczone zabawą w naukę i ciągną ojców do wyjścia, to ci opierają się, łapiąc dla siebie choćby jeszcze kilka chwil - opowiada pani Maria. - A bezcenne jest, że na kilka godzin jedni i drudzy odrywają się od smartfonów, wręcz o nich zapominają.

To więcej niż szkoła

Tu rodzą się przyszli Łukasiewiczze - wynalazcy, konstruktorzy, odkrywcy. Tu już w kilkulatkach buduje się zainteresowanie: jak to działa i dlaczego, a wszystko przez zabawę. Zresztą pytania „a dlaczego”, „a jak”, „a po co” padają tu nieustannie i od nich zaczyna się postępowanie naukowe.

Rzeszowskiemu „Łukasiewiczowi” daleko popularnością do warszawskiego „Kopernika”, ale coraz częściej bywają w Jasionce mieszkańcy Małopolski, świętokrzyskiego i lubelskiego. Raz, że mają tu bliżej, dwa, że PCN ma coś, czego nie ma żaden inny taki ośrodek w kraju: sekcję kosmiczno-lotniczą.

Andrzej Płes

Barbara Kurdej-Szatan: Aktorstwo sprawia, że mogę inaczej spojrzeć na świat

Po nieco trudniejszym okresie w karierze Barbara Kurdej-Szatan znów często gości w naszych domach na małym ekranie. Nie odpuszcza również teatru i ostatnio zagrała aż w trzech nowych spektaklach. Nam aktorka opowiedziała o swym pierwszym spotkaniu na scenie z... rodzoną siostrą.

W zeszłym roku „Szpital św. Anny” zdobył prestiżową nagrodę Telekamery. Jak trafiłaś do tego serialu?

Po prostu zostałam zaproszona przez TVN. Szukano aktorki do roli Ilony Soboń i agentka zadzwoniła do mnie, że jest propozycja zagrania w serialu, który jest kręcony w Krakowie i czy chciałabym tam jeździć na zdjęcia. A dla mnie, ponieważ gram w tamtejszym Teatrze Variete od dziesięciu lat, te podróże nie są straszne, więc się zgodziłam. Ilona Soboń to nowa postać, na razie miałam zaledwie kilka dni zdjęciowych. Zobaczmy, jak to się rozwinie. Mam nadzieję, że scenarzyści stworzą dla tej postaci jakieś ciekawe historie.

Wcielasz się w piękną bizneswoman, która „udowadnia, że sukces w biznesie i empatia mogą iść w parze”. To wdzięczna postać do zagrania?

Zdecydowanie. Ja też pozostałam tą samą dziewczyną z Opola i wszelka popularność czy to, że stałam się osobą publiczną, w ogóle mnie nie zmieniły. Podobnie jest z Iloną, która jest menedżerką kliniki medycyny estetycznej, ale nadal ważne są dla niej te wartości, które wpojono jej za dzieciaka. Kiedy spotyka koleżankę Martę ze szkoły z dawnej swej miejscowości, to nie zachowuje się wyniośle, tylko cieszy się, że ją widzi i jest jej pomocna.

Jak wspominałaś, dzięki „Szpitalowi św. Anny” jeszcze częściej bywasz w Krakowie. Czujesz się tu teraz trochę jak u siebie w domu?

Tak. Kocham Kraków, cieszę się, że mogę tam wracać i bywać regularnie. Z teatru akurat blisko jest na Kazimierz, więc czasem tam odpoczywam. Ostatnio moim ulubionym miejscem jest restauracja Woosabi z azjatyckim menu. Generalnie jednak po prostu idę tam, gdzie mam akurat ochotę coś zjeść czy czegoś się napić.

Od początku występujesz z kolei w serialu „Zaraz wracam” w TVP. Recepcjonistka Ewa to zupełnie inna postać



FOT. BOGUSŁAW ŚWIERKOWSKI

niż Ilona Soboń. Jak się odnajdujesz w tej roli?

Ewa jest delikatną romantyczką z małej miejscowości. Ubiera się trochę jak Ania z Zielonego Wzgórza. (śmiej) Ma ławkową fryzurę, nosi kwieciste stroje. Zaliczyła już ciężkie przejścia emocjonalne: uwikłała się w romans z ubóstwianym przez siebie pisarzem, który najpierw rozkochał ją w sobie, potem zmusił, aby usunęła ciężę, a teraz okazał się tyranem.

„Zaraz wracam” daje ci możliwość zagrania skrajnie odmiennych emocji. Lubisz takie role?

Zdecydowanie. Na tym polega nasz zawód, żeby szukać w sobie różnych uczuć i mieć

do zagrania postaci w różnych kolorach. Tak właśnie dzieje się z Ewą - ta delikatna i romantyczna dziewczyna musiała nagle spoważnieć i dorosnąć. Wcześniej chodziła z głową w chmurach i była naiwna, ale los kazał jej stanąć mocno na ziemi. Życie ją przeszkoliło i doświadczyło, w efekcie czego postać ta nabrała trochę innych barw. I to jest dla mnie bardzo ciekawe.

Realizacja takiego serialu jak „Zaraz wracam” wymaga od ciebie na pewno systematycznego i częstego pojawiania się na planie. Jak sobie z tym radzisz?

W tym serialu jest bardzo dużo wątków, więc nie muszę być codziennie na planie. W sumie to zaledwie kilka dni w miesiącu. To nie jest więc

wcale męczące. Bardziej mogą na to narzekać członkowie ekipy technicznej, bo to dla nich codzienna praca od rana do wieczora. Tymczasem aktorzy nieustannie się wymieniają. Ostatnio choćby dołączyła Małgosia Pieczyńska, wcielając się w postać prawdziwej żony, dzięki czemu może wyżyć się aktorsko po swoich wcześniejszych rolach. Jest więc super. Serial jest wspaniały i mam nadzieję, że TVP zdecyduje, że powstanie czwarty sezon. Bo póki co nie mamy takiej informacji.

Wielu widzów pamięta cię jeszcze jako Joannę Chodakowską z „M jak miłość”. Grałaś tę postać aż siedem lat. Teoretycznie mogłabyś wrócić do tej telewizyjnej roli. Chciałabyś?

Nie było takiego tematu, ani z mojej strony, ani ze strony produkcji. Nie ma więc o czym mówić. Teraz jestem skupiona na „Zaraz wracam” i na razie gościnnie na „Szpitalu św. Anny”.

Choć przez pewien czas było cię mniej w telewizji, stale występujesz w teatrze. Kiedyś powiedziałaś: „Scena daje mi siłę i jest też formą terapii”. Na czym to polega?

Choć czasem dzieje się w moim życiu coś złego, kiedy wchodzę na scenę, zbieram się w sobie i oddaję się swej roli na tysiąc procent. I to, że pomimo różnych przeciwności losu, zawsze miałam i mam w sobie siłę, aby wyjść na scenę i zagrać na te tysiąc procent, uświadamia mi, że mam też taką siłę do życia. Poza tym, będąc na scenie, głową jestem zupełnie gdzie indziej. Wchodzę w inne światy i w inne życia. To jest też terapeutyczne. Mogę nagle z innej perspektywy spojrzeć na świat i na ludzi. To daje dystans do własnych problemów.

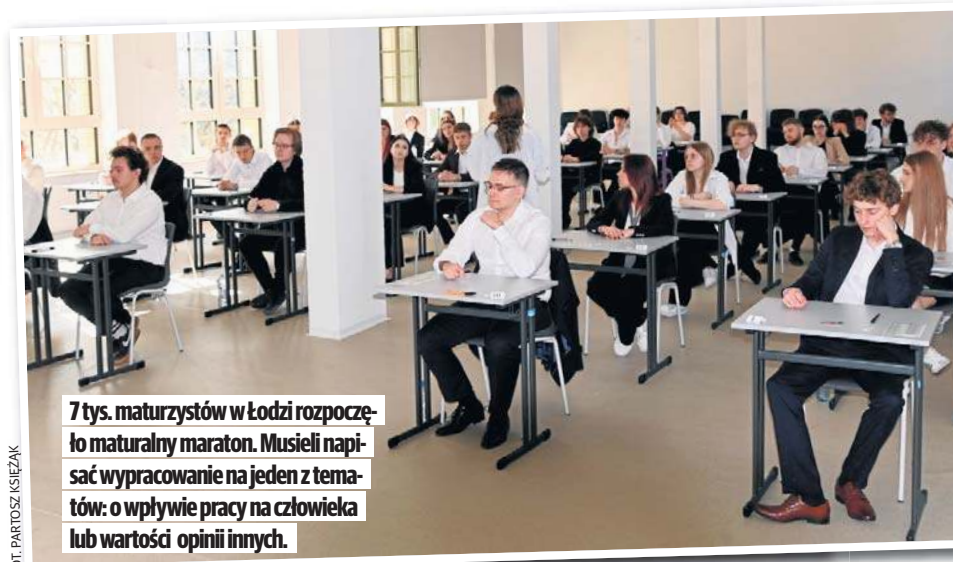
Grasz na różnych scenach i w różnych miastach. Nie brakuje ci stałej bazy w postaci etatu w jednym teatrze?

Łódź w obiektywie



FOT. BARTOSZ KSIĘŻAK

Rozpoczął się remont ul. Rzgowskiej. Przewidziane na dwa lata prace rozpoczęły się od zderzenia asfaltu na odcinku między ul. Dąbrowskiego, a Bednarską.



FOT. BARTOSZ KSIĘŻAK

7 tys. maturzystów w Łodzi rozpoczęło maturalny maraton. Musieli napisać wypracowanie na jeden z tematów: o wpływie pracy na człowieka lub wartości opinii innych.



FOT. MAT. CZMPE

W nocy z poniedziałku na wtorek w Instytut Centrum Zdrowia Matki Polki doszło do pożaru w budynku pediatrycznym. Konieczna była ewakuacja noworodków.

Nie. Liznęłam tego i wiem, jak to jest być na etacie. Było wspaniale, ale teraz cieszę się z wolności, jaką daje bycie freelancerem. Lubię grać w różnych miejscach i z różnymi ludźmi. Wtedy praca jest dynamiczna, dużo się dzieje, stykam się z wieloma zespołami artystycznymi. Bardzo mi odpowiada taka zmienność energii i to, że sama sobie pilnuję kalendarza.

Twoim sztandarowym spektaklem był w ostatnich latach „Kalina nie chce spać” w stołecznym Teatrze Komedia. Odnajdujesz siebie i swoje doświadczenia w postaci Kaliny Jędrusik?

Tak. Przede wszystkim, jeśli chodzi o próby zasufladkowania mnie czy o opinie ze strony ludzi, którzy mnie kompletnie nie znają. Kalina się z tym bardzo zmagala i ja też mam podobne problemy. Ona była niesamowicie zdolną artystką, pełną talentu, seksapilu i wdzięku. Kochała śpiewać - a nigdy nie nagrała swojej płyty, bo była zależna od innych. Tak to jest z aktorami i aktorkami. Często jesteśmy zależni od innych i poddajemy się temu. Historia Kaliny uczy mnie, że warto o siebie zawalczyć.

I jak to robisz?

Razem z moją siostrą Kasią Kurdej-Manią zrobiliśmy spektakl „Ina. Wolisz, kiedy się śmieję”, inspirowany życiem polskiej przedwojennej aktorki Iny Benity.

Co cię zafascynowało w tej postaci?

Jej tajemnica. Ina Benita była w Polsce wielką gwiazdą kina przed wojną. Grała w popularnych filmach, pojawiła się na okładce magazynu „Kino”, jej kariera rozwijała się fenomenalnie. Wszystko to przerwała wojna. Brała udział w powstaniu warszawskim i wszyscy myśleli, że zginęła w kanałach. Dopiero siedem lat temu okazało się, że uciekła na Zachód i dożyła późnej starości w USA. Wtedy też jej rodzina, którą założyła za oceanem, dowiedziała się, że ich mama i babcia była niegdyś w Polsce wielką gwiazdą kina.

Fakt, że zachowała to kolorowe i szczęśliwe życie sprzed wojny tylko dla siebie i zabrała je ze sobą do grobu, jest niesamowicie smutny, ale też intrygujący i fascynujący. Postanowiliśmy więc z siostrą przypomnieć tę historię i tę postać. Bo nawet ludzie z branży nie mają pojęcia, kim była Ina Benita. Chcemy przywrócić jej pamięć, bo była niesamowicie zdolną i pełną wdzięku artystką.

Twoja siostra jest też aktorką, związaną na stałe z Teatrem Muzycznym w Gdyni. To chyba pierwszy raz, kiedy razem wystąpiłyście na scenie?

Tak. To nasza pierwsza wspólna praca i przyznam, że to było wspaniałe siostrzane spotkanie. Całą swoją drogę artystyczną od dziecka tak naprawdę goniłam Kasię. Ona jest pięć lat starsza ode mnie, więc była pierwsza w dziecięcym chórze Legenda w Opolu, potem w Studiu Piosenki, później wyjechała do Gdyni. Ja też pojechałam po maturze najpierw do Gdyni, byłam tam rok w szkole musicalowej, dopiero potem przeniosłam się do Krakowa, aby studiować w Akademii Teatralnej. Wtedy nasze drogi się rozeszły. Kasia do tej pory pracuje na etacie w Gdyni, a ja poszłam trochę w inną stronę. Dlatego nigdy nie występowałyśmy na scenie razem. Aż w zeszłym roku przygotowaliśmy spektakl „Ina. Wolisz, kiedy się śmieję”.

I jak było?

Świetnie. Za sprawą tego, że jesteśmy siostrami i nasza droga rozwoju była taka podobna, mamy takie samo tempo pracy, tak samo łapiemy różne rzeczy, podobnie myślimy. Oczywiście podczas prób były silne emocje na scenie i poza nią. Tym bardziej, że nasza reżyserka, Kasia Grabińska, też jest mocną osobowością. Kiedy więc spotykaliśmy się, czasem było burzliwie. Ale generalnie pracowało nam się wspaniale. Zrealizowaliśmy wspólnie ten spektakl i jesteśmy z niego bardzo dumne. Na razie gramy go w Gdyni, ale niebawem będzie warszawska premiera w Garnizonie Sztuki

u Grażyny Wolszczak w dniach 6 i 7 czerwca. Potem chętnie wyruszyłybyśmy z nim w Polskę.

W Teatrze Roma śpiewasz i tańczysz z koleżankami w „Aniołkach Mussoliniego”. O waszym trio Dziennik Teatralny napisał: „Są perfekcyjne wokalnie, choreograficznie i aktorsko”. Cieszą się takie recenzje?

Tak. To bardzo miłe i budujące. Słyszemy same słowa uznania od krytyków i ludzi z branży, ale też od widzów. A praca nad tym spektaklem była bardzo intensywna i emocjonalna. Najpierw miałam premierę „Iny” w Gdyni - i od razu stamtąd przyjechałam do Warszawy, gdzie były już próby nad „Aniołkami”. Wskoczyłam więc w nie w trakcie, co nie jest łatwe. A potem jeszcze pojawiła się rola w farsie „Genialny pomysł” w Teatrze Capitol. Pomyślałam więc: „Dobra, po tych dwóch wymagających spektaklach, to będzie dla mnie mały pikus”. Tymczasem okazało się, że farsa, jeśli chodzi o podawanie tekstu, musi być tak precyzyjna, że wcale nie było to takie łatwe. Jak sobie potem sprawdziłam, w zeszłym roku od 1 sierpnia do Wigilii, nie miałam ani jedno dnia wolnego i co dzień byłam na jakiejś próbie. Ale zrobiłam trzy premiery w teatrze, z czego „Ina” i „Aniołki” są dla mnie bardzo ważne.

W tym roku mija dziesięć lat od premiery „Legalnej blondynki” w Teatrze Variete w Krakowie, gdzie wystąpiłaś po raz pierwszy i ostatni wspólnie z Rafałem. Chciałabyś znów zagrać razem z nim w czymś nowym?

Bardzo. Rafał ostatnio bardzo dużo gra i to same główne role w musicalach. Jest Jezusem w „Jesus Christ Superstar”, Bestią w „Pięknej i Bestii” oraz Edwardem w „Pretty Woman”. Teraz robi kolejny spektakl w Toruniu. Dlatego myślimy też o jakimś wspólnym spektaklu muzycznym. Przetarłam szlaki

z moją siostrą, mam już swoją pierwszą produkcję teatralną, może więc teraz kolej zrobić coś z mężem.

Oboje z Rafałem robicie aktorskie kariery - ty bardziej w teatrze i telewizji, on w musicalu. Rywalizujecie trochę ze sobą?

Kompletnie nie. Raczej wspieramy się mocno, kibicujemy sobie, trzymamy kciuki za siebie wzajemnie, doradzamy sobie. I teraz te dziesięć lat po „Legalnej blondynce” znów zachciało się nam ze sobą popracować. Bo przecież poznaliśmy się też w pracy - w Gliwicach podczas prób do musicalu „Hair”. Bardzo bym więc tego chciała, trzeba teraz tylko znaleźć na to czas i dobry tekst.

Pomagacie sobie nawzajem w przygotowaniach do roli czy każde woli pracować samemu?

Tak mało mamy czasu dla siebie, że kiedy spotykamy się w domu po pracy, to skupiamy się na sobie i na dzieciach. Gdybyśmy jeszcze po godzinach mieli dyskutować o swych rolach, to chyba byśmy zwariowali. Ale jeśli ktoś z nas potrzebuje pomocy, to zawsze oboje chętnie pomagamy.

Jesteście ze sobą piętnaście lat i pewnie jak każde małżeństwo przeżyliście niejedną trudny moment. Jak sobie z nimi radzicie?

Chyba po prostu się kochamy. Mamy też wspaniałe dzieci. Jesteśmy z dobrych rodzin, które się kochały, wpojono więc nam dobre wartości i wiemy, jak są one ważne. Uwielbiamy spędzać razem czas. Kiedy po intensywnym okresie zawodowym wsiadamy do auta z dziećmi i jedziemy na jakąś wycieczkę, to jesteśmy bardzo szczęśliwi. To najpiękniejsze momenty naszego życia. Chociaż czasem się sprzeczamy czy kłócimy, to wiemy, że musimy dbać o naszą rodzinę.

Paweł Gzyl

Ten nasz niezwykły motoryzacyjny świat

CHIŃSKA MARKA ATAKUJE SEGMENT PREMIUM

Marka MG wkracza na rynek aut premium, ogłaszając ceny i specyfikację zupełnie nowego modelu MGS6 EV. Sprawdzamy, co ma do zaoferowania w pełni elektryczny SUV.

MG S6 EV to w pełni elektryczny, średniej wielkości SUV na rynku rywalizujący m.in. ze Skodą Enyaq. Nowość bazuje na modułowej płycie podłogowej określanej jako MG Modular Scalable Platform (MSP). Zbudowano na niej także MG4 Electric.

Model dysponuje bagażnikiem o pojemności 674 l oraz dodatkowym schowkiem z przodu (124 l). Za komfort odpowiadają również podgrzewane i wentylowane fotele, system audio z 11 głośnikami



FOT. MGS6 EV

oraz panoramiczne okno dachowe.

Układ napędowy nowego modelu MG opiera się na technologii elektrycznej z akumulatorem o pojemności 77 kWh. MGS6 EV z napędem na tylną oś umożliwi przejechanie do 530 km (zgodnie z procedurą WLTP). Wersja Exclusive AWD posiada napęd na cztery koła i dysponuje mocą 362 KM, co gwarantuje osiągnięcie 100 km/h w zaledwie 5,1 sekundy.

Oficjalna premiera i pojawienie się modelu w salonach zaplanowane jest na lipiec. Standardowe ceny modelu zaczynają się od 203 900 zł dla wersji Exclusive oraz 216 900 zł dla Exclusive AWD.

W ramach oferty premierowej MG Motor przygotowało pakiet korzyści. **(motofakty.pl)**



FOT. MGS6 EV

Oficjalna premiera i pojawienie się modelu w salonach zaplanowane jest na lipiec.



FOT. BARTOSZ KSIĘŻAK

PIRACI Z KRASZEWSKIEGO

Jacht to symbol luksusu. Zakrapiane imprezy i grill na rufie oraz sypialnia pod pokładem. Jednak to, co się dzieje na jachcie „zacumowanym” na działce przy ul. Kraszewskiego, z życiem krezosów nie ma nic wspólnego... Na jachcie mieszkają bowiem bezdomni. Kabina żagłówki stała się ich sypialnią, rufa tarasem, na którym - odkąd zrobiło się ciepło - odbywają się głośno libacje. Straż miejska niestety ma związane ręce, ponieważ jacht znajduje się na terenie prywatnym. A działka jest własnością dwóch osób, które są skonfliktowane.



Policjanci kontrterrorysty pojawili się w środę na Uniwersytecie Łódzkim. Były to ćwiczenia służb w przypadku sytuacji kryzysowych.

FOT. JAKUB MILONKA

Wartość nasłuchu radiowego dostrzeżono już w czasie I wojny światowej. W przeddzień wybuchu kolejnego konfliktu wszystkie państwa dysponowały bardziej lub mniej rozbudowanym systemem rozpoznania radiowego. Najważniejszy z amerykańskich ośrodków znajdował się w podziemiach bazy Pearl Harbor.

Kierował nim znakomity kryptoanalityk i znawca szyfrów - Joseph Rochefort. Kierowany przez niego ośrodek „Hypo” przetrwał uderzenie japońskie na Pearl Harbor i korzystając z systemu stacji odbiorczych i namierzających przekazywał ogromną ilość bezcennych informacji.

Wizytujący go w końcu grudnia 1941 roku admirał Nimitz nie był jednak przekonany o jego znaczeniu mając mu za złe brak ostrzeżenia przed atakiem japońskim na bazę. Wydaje się, że zarzut był jednak bezpodstawny. O zaskoczeniu zadecydował spłot okoliczności, w których udział „Hypo” był minimalny.

Sytuacja zmieniła się zdecydowanie w kwietniu 1942 r. Ponoszone przez sprzymierzonych klęski zmusiły dowództwo do ściślejszej współpracy z ośrodkiem nasłuchu rozpoznania radiowego. Wiedzieć szybciej i lepiej oznaczało w tych warunkach przełamanie pasma klęsk i wyprzedzenie ewentualnych akcji przeciwnika.

Referujący Nimitzowi wniośki z pracy „Hypo” Rochefort typował Nową Gwinę jako cel ataku japońskiego. Nimitz wykorzystał tę informację i w efek-

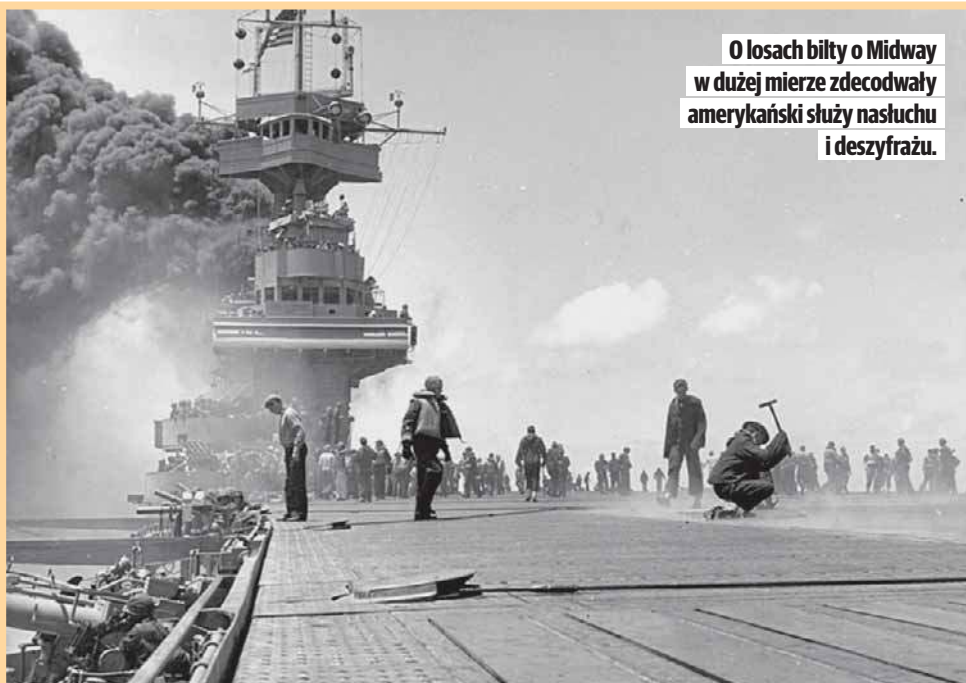
cie doszło do bitwy na Morzu Koralowym, która choć przyniosła duże straty, powstrzymała wreszcie ofensywę japońską.

Dalsza praca ośrodka „Hypo” pozwoliła wytypować Midway jako kolejny cel dla marynarki cesarskiej. Słęcząc nad setkami depech Rochefort oraz ppor. Layton dokonali gigantycznej pracy. Co ciekawsze ich niezwykle dokładne określenie pozycji floty japońskiej w momencie ataku na Midway nie było odczytane z depech, a wydedukowane pośrednio z ich treści. Meldunek przekazany do kwatery Nimitza informował: „Nieprzyjacielski zespół lotniskowców nadejdzie z kierunku NM i powinien być rozpoznany przez samoloty w odległości 175 mil od Midway”.

4 czerwca pilot amerykańskiej łodzi rozpoznawczej „Catalina” dostrzegł ugrupowanie japońskich okrętów. Okazało się, że specjaliści z ośrodka „Hypo” dokonali prawdziwego cudu. Zgadzała się zarówno godzina jak i dystans. Amerykanie otrzymali do rąk atut, który mógł wyrównać drastyczną dysproporcję sił.

Spełniwszy swoje zadanie kryptolodzy z „Hypo” przystąpili do dalszej pracy. Czekala ich tutaj jednak niespodzianka.

„Hypo” słucha Japończyków



O losach bitwy o Midway w dużej mierze zdecydowały amerykański służby nasłuchu i deszyfracji.

Nieoczekiwanie Japończycy zmienili swój szyfr. Trzeba było czytać ich depeche. Na szczęście najważniejszą informację udało się zdobyć i pokrzyżować japoński plan „Mi Sakusen” (atak na Midway).

Jeszcze przed rozstrzygnięciem bitwy pod Midway kierowany przez Rocheforta ośrodek przyczynił się do pokrzyżowania planów związanych z przygo-

towaniem do operacji „Mi Sakusen”. Dzięki nasłuchowi udaremniono działanie rozpoznawcze japońskiego okrętu podwodnego. Zniechęceni tym Japończycy zrezygnowali z bazy dla własnych samolotów, rozpoznawczych co odczuli boleśnie pod Midway.

O tym jak istotne były nadchodzące z ośrodka nasłuchu i deszyfracji informacje w roz-

grywce pod Midway świadczą słowa szefa amerykańskiego sztabu generalnego gen. George’a Marshalla: - „Moglibyśmy ześrodkować nasze ograniczone siły w taki sposób, żeby przeciwstawić się militarnej ekspansji Japonii na wyspy Midway, w innym przypadku znajdowalibyśmy się o jakieś 3000 mil od miejsca uderzenia”.

Kalendarium

Wydarzyło się 8 maja

- 1933 - Mahatma Gandhi rozpoczął 21-dniową głodówkę, by zaprotestować przeciwko polityce brytyjskiej w Indiach.
- 1945 - Dowództwo niemieckie podpisało w Berlinie bezwarunkową kapitulację wobec aliantów zachodnich i ZSRR (9 maja według czasu moskiewskiego).
- 1947 - Rotmistrz Witold Pilecki został aresztowany przez funkcjonariuszy MBP.
- 1978 - Włoch Reinhold Messner i Austriak Peter Habeler zdobyli bez aparatów tlenowych Mount Everest.
- 1987 - Brytyjska jednostka specjalna Special Air Service (SAS) zaatakowała z zaskoczenia i zabiła 8 członków brygady Tymczasowej IRA, którzy zostali potem nazwani „Męczennikami z Loughgall”.
- 2004 - Podczas zamieszek wywołanych przez pseudokibiców w czasie juwenaliów na osiedlu akademickim Lumumbowo w Łodzi, w wyniku omyłkowego użycia przez policję ostrej amunicji zginął jeden z kibiców oraz studentka.

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Wampir z ulicy Zarzewskiej

W historii naszego miasta były zbrodnie o których nie można zapomnieć. Jak choćby mordercę dziewczynki z Radogoszcza. Krzysztofa S. nazywano „wampirem z ulicy Zarzewskiej”.

Miał 18 lat, gdy dokonał potwornych zbrodni. Jedną z jego ofiar była 25-letnia Elżbieta W., absolwentka wydziału prawa Uniwersytetu Łódzkiego, pracownica PZU przy ul. Sienkiewicza.

Razem z Agnieszka, koleżanką z pracy wybrała się na spektakl do Teatru Powszechnego w Łodzi. Wracając wsiadła w tramwaj linii 26, by dojechać do swego domu na Rudzie. Wsiadła na rogu ul. Rudzkiej i Farniej... Około godziny 8.00 jedna z łodzianek szła na swą działkę przy ul. Podlaskiej. Na ul. Scalemowej zauważyła ślady krwi. Potem zobaczyła, że za krzaków wystają kobiece nogi. Leża-

ła w nich naga i martwa Elżbieta W. Obok zwłok leżał pręt długości kilkudziesięciu centymetrów owinięty w czerwoną szmatę. Na głowie miała ślady po uderzeniach.

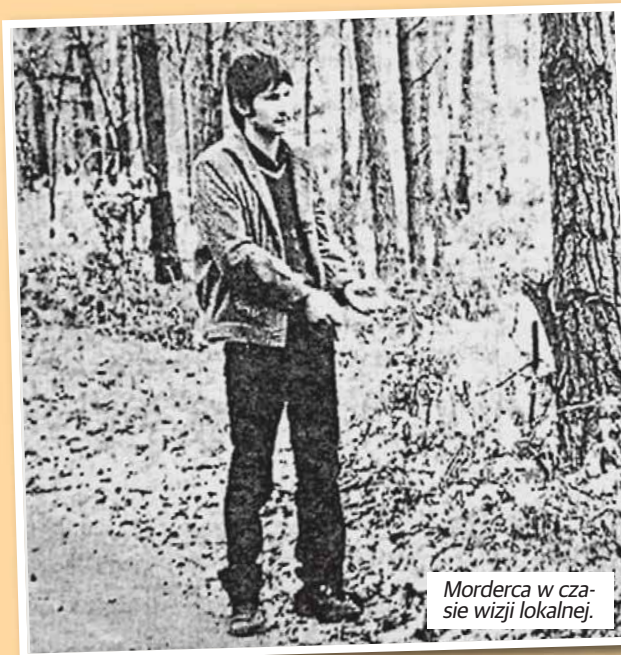
Do kolejnego zabójstwa doszło kilka dni później, 8 września, w drugim końcu Łodzi. W nocy, po godzinie 2.00 do komendy miejskiej w Zgierzu wpłynęło zgłoszenie o zaginięciu 8-letniej Anetki. Dziewczynka wyszła około południa do szkoły przy ul. Jesionowej, do tej samej do której chodziła zgwałcona 1 września Małgosia. Około 8.00 rano ojczym Anety znajduje jej zwłoki w lesie, w Chelmach, na pograniczu Ło-

dzi i Zgierza. Leżą przykryte gałęziami i świeżo wyrwanymi chwastami.

Milicjanci odkryli, że z przepustki do zakładu poprawczego w Laskowcu, na Podlasiu, nie wrócił 18-letni Krzysztof S., mieszkaniec ul. Zarzewskiej. Za Krzysztofem zostaje wydany list gończy, on nawet o tym nie wiedział. Został zatrzymany 17 września, przed godziną 18.00 na przystanku tramwajowym na rogu ul. Kilińskiego i Dąbrowskiego. Przyznał się winy.

Okazało się, że Krzysztof wcześniej zgwałcił też 11-letnią dziewczynkę i napadł na 19-letnią dziewczynę.

Anna Gronczewska



Morderca w czasie wizji lokalnej.

Więcej

Badanie, proces i kara śmierci

Przez dwa i pół roku Krzysztof S. był poddawany badaniom w szpitalach psychiatrycznych. Nie zauważono u niego wahań nastrojów, zaburzeń w toku myślenia, wypowiedzi, które mogły sugerować doznania urojeń czy omamów. Według eksperta miał w pełni zdolność rozumienia swoich czynów i kierowania swoim postępowaniem. Jednocześnie stwierdzono u niego nieprawidłową osobowość i sadyzm seksualny. Krzysztof S. został skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano.

FOT. ARCHIWUM

Wojna hybrydowa na Kresach II RP wybuchła już w 1922 r., a dwa lata później osiągnęła swoje apogeum. Wojciech Rodak opisuje, w jaki sposób Sowieci nekali wschodnie tereny Polski.

Stołpce od granicy z ZSRR dzieliło niespełna 15 km. Znaczenie pięciotysięcznego ośrodka podnosiła linia kolejowa Brześć - Mińsk. Ale pewnie wielu mieszkańców II RP zdawałoby sobie sprawę z istnienia miejscowości, gdyby nie wydarzenia z nocy 3 na 4 sierpnia 1924 r. Tuż po godz. 1 mieszkańcy miasteczka obudziły strzały. Około 60-osobowa banda, prawdopodobnie pod dowództwem oficera sowieckiego wywiadu wojskowego Stanisława Waupszasowa, zaatakowała kilka strategicznych punktów Stołpców.

Największa grupa napastników uderzyła na siedzibę starostwa. Nie udało im się jednak wykorzystać efektu zaskoczenia. Posterunkowy Leon Pikier strzegący budynku zdołał zabarykadować drzwi. Z pomocą przyszli mu urzędnik i woźny. Uzbrojeni tylko w mauserzy odpowiadali ogniem przeważającym siłom wroga, który dysponował nawet karabinami maszynowymi i granatami. Po trwającej kwadrans kanonadzie napastnicy wycofali się do innej części miasteczka. Nie powiódł się także ich szturm na posterunek miejski i komendę powiatową. Szczególnie walki o tę drugą przybrały dramatyczny obrót. Napastnicy obrzucili budynek granatami, w wyniku czego jeden z policjantów został ogłuszony. Skuteczny opór stawili im w pojedynkę sam komendant powiatowy Chludzkiński uzbrojony jedynie w pistolet.

Później polscy stróżę porządku mieli mniej szczęścia. Dywersantom udało się dostać do policyjnej stajni, gdzie zabili jednego funkcjonariusza i zrabowali kilka koni. Zdobyli także posterunek na stacji kolejowej, gdzie zastrzelili kolejnego policjanta. Potem ruszyli na koszary. Tam wezwali funkcjonariuszy do poddania się. Ci jednak zaczęli uciekać z budynku. Wtedy bandyci otworzyli do nich ogień, kładąc dwóch trupem. Bez trudu zajęli pocztę i miejski areszt, z którego uwolnili 18 przetrzymywanych. Wśród tych ostatnich znajdowali się Józef Łohinowicz, członek KC Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, i Stanisław Mertens, członek Biura Politycznego Komunistycznej Partii Polski. Akcję przerwało im pojawienie się w Stołpcach szpicz oddziału kawalerii z pobliskich Okieńczy.

Atak na Stołpce stanął apogeum i najbardziej tragiczną kartę polsko-sowieckiej wojny hybrydowej. Nie ostatnią - jak się później okazało. „Fakt ten [napad na Stołpce - red.] jest czymś tak niesłychanym, czemś tak



Żołnierze KOP spotkali się z sowieckim patrol. Korpus Ochrony Pogranicza stworzono w 1924 roku.

„Zielone ludziki” na kresach II RP

wyjatkowym w stosunkach pomiędzy narodami, że przed wojną [I wojną światową - red.] byłoby wiadomością, w której prawdziwość nie można by było wątpić. Oddziały wojskowe republiki sowieckiej, pozostającej oficjalnie z Polską w stosunku pokojowym, dokonywały napadów na terytorium sąsiedniego państwa! I czynią to nie raz i nie dwa, ale raz po raz, tydzień za tygodniem!” - grzmiał z oburzenia krakowski „Czas” z 7 sierpnia 1924 r. Publicystom sowiecka bezczelność nie mieściła się w głowie. Zresztą nie można się dziwić ich irytacji. Przeróżne incydenty zbrojne z zauważalnym udziałem ludzi Kremla wstrząsały północno-wschodnimi rubieżami II Rzeczypospolitej niemal codziennie od 1921 r. Tymczasem Warszawa, wobec narastających prowokacji, wydawała się bezradna.

Tereny ówczesnych województw wileńskiego, nowogródzkiego i poleskiego stanowiły „miękkie podbrzusze” odrodzonej Polski. Działalność sowieckich dywersantów ułatwiała wiele czynników. Przede wszystkim obszar ten był w większości zamieszany przez słowiańskie mniejszości narodowe: Białorusinów, Ukraińców oraz Żydów. Grupy te często na gruncie zaszciości historyczno-ekonomicznych były zwaśnione z Polakami. Poza tym miejscowa ludność bardzo mocno ucierpiała podczas działań I wojny i walk polsko-bolszewickich. W 1915 r., gdy wojska carskie cofały się na wschód, zmuszono do ewakuacji ponad milion mieszkańców regionu. Powracający byli często wrogo nastawieni do systemu, który zastali. Na ich oczach w Rosji do-

konała się rewolucja październikowa - widzieli, jak upada „pański system”. Byli przez to bardzo podatni na propagandę antypolską, a szczególnie komunistyczną. Nastroje pogarszał też opłakany stan gospodarki regionu.

Podpisany w marcu 1921 r. traktat ryski oficjalnie kończył wojnę polsko-bolszewicką. Klęska przekreśliła nadzieje Sowietów na szybką ekspansję rewolucji na Zachód. sytuacja na Kresach dawała im asumpt do podjęcia innego rodzaju działań ofensywnych - wojny hybrydowej. Jej celem była destabilizacja nadgranicznych terytoriów II RP poprzez liczne akcje dywersyjne, przygotowanie silnej miejscowej partyzantki, a w ostatniej fazie, wywołanie powstania, które zakończyłoby się przyłączeniem tych ziem do ZSRR.

Nie wiadomo dokładnie, kto w sowieckim kierownictwie był inicjatorem tych działań. Naukowcy wskazują jedynie, że wielkim promotorem idei stymulowania komunistycznej irredenty w II RP był Michaił Frunze, który miał powoływać się na powodzenie tego typu akcji w czasie podboju Gruzji w 1921 r.

Pewne jest natomiast, że na początku lat 20. działania wszystkich służb sowieckich przeciwko Polsce koordynował Józef Unslicht - mławski Żyd, weteran ruchu komunistycznego. Większość historyków jest także zgodna, że gros odpowiedzialności za niepokoje na polskich Kresach ponosi Ramiz zwiędupr, czyli sowiecki wywiad wojskowy. Niektórzy podają, że operacje „aktywnego wywiadu”, jak zwali je Rosjanie,

były tak zakonspirowane, iż nie wiedzieli o niej nawet „sąsiedzi” z cywilnej Czeki.

Razwiedupr prowadził działania na Kresach już od 1921 r., jednak szczyt jego aktywności przypadał na 1924 r. Przyczynił się do tego niezwykle energiczny Jan Berzin, który wówczas stanął u sterów wojskówek - dywersja na polskim odcinku była dla niego priorytetem. Ów pochodzący z Łotwy wywiadowca przeszedł do historii jako twórca podstaw potęgi GRU. To on zwerbował do sowieckiej agentury dwie szpiegowskie legendy: Richarda Sorge i Leopolda Treppera.

Oddziały dywersyjne Razwiedupr operujące na terenie Polski na ogół składały się z profesjonalnej kadry dowódczej, która na akcje przechodziła przez granicę, z Sowietów, oraz z miejscowych partyzantów rekrutujących się spośród działaczy Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, a nierzadko i ze środowiska przestępczego. Jednak zdarzało się, tak jak w przypadku ataku na Stołpce, że przetrucano do IIRP całe grupy zbrojne. W 1924 r. odnotowano 207 takich incydentów. Najważniejszymi dowódcami wojskówek na Kresach byli Cyryl Orłowski, Stanisław Waupszasow i Aleksander Rabcewicz.

Jednak najbardziej znanym dywersantem - prawdziwym medialnym i ludowym herosem tamtej epoki - był niejaki Józef Mucha-Michalski. Według historyków sowieckich i białoruskich był on podoficerem polskiej kawalerii, który w 1922 r. zdezerterował i przyłączył się do grupy prowadzonej przez Orłowskiego. Polskie akta sądowe i policyjne, obecnie przechowy-

wane w Brześciu, pełne są dokumentów dotyczących napadów, których rzekomo dokonał. Jednak wiele wskazuje na to, że była to postać fikcyjna. Prawdopodobnie pod Muchę-Michalskiego podszywali się Orłowski i inni dywersanci. Robili to, by zmylić polskie służby. Te ostatnie zresztą podchwyciły sowiecką mistyfikację.

Lista sukcesów agentów Razwiedupr na Kresach jest długa. Niektóre spektakularnie kompromitowały służby bezpieczeństwa Rzeczypospolitej. W październiku 1922 r. sowieccy dywersanci zajęli majątek Struga w województwie poleskim. Policja potrzebowała trzech dni, by go odbić. W walkach poległo dwóch funkcjonariuszy. 24 września 1924 r. pod Łowczą ok. 60-osobowa grupa partyzantów, prawdopodobnie dowodzona przez Cyryla Orłowskiego, napadła na pociąg relacji Brześć - Łuniniec. Zatrzymali go i po krótkiej wymianie ognia wtargnęli do wagonów. Na ich łasce znalazło się kilku ważnych oficjeli, którzy podróżowali owym feralnym składem. Oprócz samego wojewody poleskiego Stanisława Downarowicza byli tam: inspektor policji Mięsowicz, biskup miński Zygmunt Łozkiński i Bolesław Wysłouch, senator PSL „Wyzwolenie”. Napastnicy, w ubiorach białoruskich włościan okradli wszystkich pasażerów z pieniędzy, kosztowności i żywności.

Mężczyznom, w tym także wojewodzie, zabrali ubrania. Downarowicz zeznał później, że oddał je sam, „unikając w ten sposób dotknięcia rąk bandyców”. Jedyną ofiarą śmiertelną tego zajścia był żydowski han-

dlarz bydłem - zastrzelono go, ponieważ rozpoznał jednego ze złodziei i próbował do niego zagadać. Obłowieni dywersanci zniknęli w mrokach poleskiej puszczy.

4 listopada 1924 r. doszło do kolejnego napadu na pociąg. Skład relacji Brześć - Baranowicze, w okolicach stacji Leśna, został zatrzymany przez ok. 80-osobową grupę podającą się za białoruskich narodowych partyzantów. Jednak tym razem dywersanci mieli mniej szczęścia. Polskie służby po sprawnej akcji pościgowej i śledczej, zatrzymały ponad 20 z nich. Czterech skazano na śmierć.

Po zuchwałym napadzie Sowietów na Stołpce rząd Grabskiego podjął wiele działań, które miały przywrócić bezpieczeństwo na Kresach. Przede wszystkim powołano do życia Korpus Ochrony Pogranicza - nową formację wojskową, która miała walczyć z dywersją. Poza tym nasilono represję. Na celownik wzięto przede wszystkim działaczy KPZB, którzy walnie wspierali Razwiedupr, i inne radzieckie służby „hamujące” na terenie Polski.

W samym województwie poleskim tylko w 1925 r. za „działalność antypaństwową” aresztowano 2 tys. ludzi. Nie mogli oni liczyć na łagodność sędziów. Na przełomie lat 1924/1925 w trybie nadzwyczajnym skazano na śmierć i rozstrzelano 57 osób. Dopiero te radykalne środki pokroiły sympatie białoruskiego chłopstwa dla idei „czerwonego” powstania i odwoły jej od pomocy sowieckiej agenturze. Dobitnie jest to widoczne w statystyce. W całym 1925 r. w omawianym regionie odnotowano już tylko 110 incydentów - napadów i rabunków - dokonanych przez bandy. To połowę mniej niż rok wcześniej.

Bezpośrednią przyczyną zaprzestania przez Razwiedupr dywersji naziemiach polskich był incydent w nocy z 7 na 8 stycznia 1925 r., kiedy oddział sowieckiego wywiadu wojskowego, przebrany w polskie mundury, uciekał przed ścigającymi ich „kopcami”. W czasie przekraczania granicy w pobliżu wsi Siwki, nieopodal Jampola, został przez pomyłkę ostrzelany przez swoich pograniczników, którzy wzięli ich za Polaków. Wywiązała się strzelanina. Jeden dywersant zginął, a budynek strażnicy został zniszczony.

Wiadomość o zajściu dotarła do uszu Feliksa Dzierżyńskiego, legendarnego szefa Czeki. Głęboko zakonspirowana wojna hybrydowa prowadzona przez Razwiedupr prawdopodobnie właśnie wtedy wyszła na jaw. Oburzony czekista uważał, że „aktywny wywiad” kompromituje Związek Radziecki w stosunkach z sąsiadami. Towarzysze z Biura Politycznego podzielali jego opinię. Wydano rozkaz wygaszenia całej akcji.

Mariusz Grabowski



Akademia snookera...

Snookerozwa stolica Polski

FOT. MARIUSZ KAPALA

Te Mistrzostwa Świata w Snookerze były dla nas historyczne. Po raz pierwszy w „Teatrze Marzeń”, jak nazywana jest sala Crucible Theatre w Sheffield, wystąpił Polak. Antoni Kowalski przedził się przez klasyfikacje do turnieju głównego. Znalazł się wśród 32 najlepszych zawodowców na świecie. Zajrzeliśmy do jego macierzystego klubu.

Snooker to gra, która pozwala miło spędzić czas. Ale też być samemu ze sobą - mówi Marcin Nitschke, założyciel Nitschke Akademia Snookera w Zielonej Górze. - Mnie dał on wszystko. Nauczył mnie koncentracji, ale jednocześnie stworzył możliwość spotkania

wspaniałych ludzi - sportowców, olimpijczyków, artystów, biznesmenów. Kiedy miałem problemy - byłem przy snookerze. Kiedy w domu było źle, kiedy w moim życiu działy się tragedie, kiedy miałem problemy w firmie - byłem przy snookerze. Kiedy pokłóciłem się z przyjacielem, też szedłem do snookera. Bo wtedy pozostawałem ja, bile i stół. Oto czym dla mnie jest snooker.

Spotykamy się w nowo otwartym centrum sportowym w odrestaurowanej (budynek z pocz. XIX w.) wytwórni win musujących Gremplera. Na trzech tysiącach mkw. można tu zagrać w kręgle, darta, bilarda i snookera. Na terenie klubu

Hot Shots Billiards & Bowling działa także akademia. Rozmawiamy przy ogromnym akwarium.

- Ponad 32 lata gram w snookera, ale w tym czasie rozwijałem też swoją drugą pasję - hodowlę rybek. To akwarium na siedem tysięcy litrów jest spełnieniem mojego marzenia - mówi gospodarz i jednym tchem wylicza egzotyczne nazwy przepływających za szybą okazów. - Wymyśliłem sobie takie miejsce, gdzie rodzic odprowadzający swoje dziecko na zajęcia, albo ktoś czekający na trening, może usiąść, zrelaksować się, wyluzować.

Snooker powstał w XIX wieku, w kolonialnych Indiach Brytyjskich, w środowisku angielskich oficerów. W 1875 r. w klubie oficerskim w Dżabalpur sir Neville Chamberlain miał zaproponować połączenie kilku znanych z ojczyzny odmian bilarda w grę na nowych zasadach. Nazwa pochodzi z ówczesnego slangu wojskowego - słowem tym określano kadetów pierwszego roku w Królewskiej Akademii Wojskowej w Woolwich. Chamberlain zwykł określać w ten sposób graczy popełniających błędy - a z czasem nazwa przyłączyła się do gry, która przez lata zdobywała popularność, aż w 1927 r. odbyły się pierwsze mistrzostwa świata. Wygrał je (podobnie jak 14 kolejnych edycji) Joe Davis, który później został odznaczony, za swoje wybitne osiągnięcia sportowe, Or-

derem Imperium Brytyjskiego. W kolejnych dekadach snooker stawał się coraz bardziej popularny, choć przeżywał także upadki (po 1957 r. przez kilka lat nie organizowano mistrzostw świata). Prawdziwy boom nastąpił wraz z rozwojem transmisji telewizyjnych. Era nowożytna snookera liczona jest od 1969 r., kiedy wprowadzono pucharowy system w Mistrzostwach Świata, które od 1977 r. odbywają się w Crucible Theatre w Sheffield (umowa obowiązuje do 2045 r.). Rekordzistami w ilości zdobytych tytułów są Szkot Stephen Hendry i Anglik Ronnie O'Sullivan (po 7).

Początki tego sportu w Zielonej Górze związane są z domem kultury na Chynowie i osobą jego dyrektora Waldemara Matuszkiewicza. Były to wczesne lata 90. XX w.

- Pamiętam, że na początku graliśmy w bilarda, ale rozmawialiśmy o prawdziwym stole do snookera (znaliśmy ten sport z telewizji). Aż w końcu się pojawił. Co prawda na metrze kwadratowym było ze sto dziur - nierówności, a przy niektórych kieszeniach, gdy wbiłem bilę, to mogłem się pomylić 2-3 cm, a ona i tak wpadała, bo sukno było tak bardzo wyślizbione. Człowiek stał jak pokraka przy tym stole, łokieć na Giewont wystawał... nie było mowy o jakiegokolwiek technice, ale była frajda z gry. To były piękne czasy - wspomina Nitschke. - Wydrukowaliśmy so-

bie z internetu ćwiczenia, przybiliśmy je do ścian i bywało tak, że spędzałem 8-10 godzin przy snookerze. W późniejszych latach nieraz koledzy przychodzili i próbowali mnie stamtąd wyciągać, np. na imprezę. Ja jednak zostałem przy tym sporcie i dobrze zrobiłem, bo dziś jesteśmy w jednej z największych akademii w Polsce i w Europie.

Na swoje pierwsze zawody Nitschke pojechał w wieku 11 lat. Zdobył brązowy medal Mistrzostw Polski Juniorów. To był początek ponadtrzydziestoletniej kariery, znaczonej całym naręczem medali.

Wchodzimy do sali przeznaczonej do gry w snookera. Jeden za drugim, jak zakotwiczone w rzędzie lotniskowce, stoją ogromne stoły. Niby wszyscy wiedzą, że są dużo większe niż te bilardowe, ale „na żywo” robią kolosalne wrażenie. Każdy ma ponad 3,5 metra długości i waży około tony (to efekt m.in. kamiennej płyty).

Nitschke staje przy stole, bierze kij i tłumaczy podstawy - jak powinno składać się do uderzenia: „są trzy podpory: mostek, broda i łokieć”, opowiada o tym, że najważniejsza jest kontrola białej bili, mówi o kątach, rotacjach i o tym, że lekcji snookera nie da się tak po prostu przelać na papier. Dodaje, że ten sport uczy strategicznego myślenia i rozwija wyobraźnię przestrzenną. Rozmawiamy też o rzeczy nieoczywistej, czyli o tym, że aby spe-

dziać godziny przy stole, trzeba po prostu mieć kondycję. No i o historii.

- Po początkach w domu kultury powstała Lubuskie Stowarzyszenie Snookera Sportowego i Bilarda, które założył Władysław Bartoszewicz. Potem otworzyliśmy, z moim śp. bratem Damianem, pierwszy Hot Shots i Nitschke Akademię Snookera przy ul. Wrocławskiej, a w końcu klub na Sulechowskiej z czterema stołami do snookera - wspomina. - Damian był ważny, odgrywał znaczącą rolę w rozwoju tego sportu. Ja grałem, pojawiałem się w mediach, on organizował turnieje, zabezpieczał firmę. Bardzo go brakuje, choć minęło już 16 lat (zginął w 2009 r. w wypadku na nartach - przyp. red.). Co roku organizujemy memoriał jego imienia w pool bilardzie. W ostatnim brało udział kilkadziesiąt osób z całej Polski, w tym medaliści mistrzostw krajowych i Europy. Na najbliższym memoriale w czerwcu spodziewam się ok. stu zawodników.

W tym roku Polski Związek Snookera i Bilarda Angielskiego obchodzi 35-lecie. Na stronie internetowej związku wyświetla się jedynie 18 certyfikowanych klubów i sal.

Tymczasem według World Snooker Tour, na świecie sport ten uprawia około 120 mln ludzi w 110 krajach, a widownia przekracza pół miliarda. Ubiegłoroczne Mistrzostwa Świata pobili kolejne rekordy ogladal-



Mateusz Baranowski z trofeum mistrzostw Polski w formule Shoot Out

FOT. MARIUSZ KAPALA

ności. W BBC wyniosła ona 12,6 mln, do czego trzeba dodać 29 mln relacji uruchomionych przez internet. Jak poinformował The Guardian, finałowy mecz pomiędzy Zhao Xintongiem (zwycięzca) a Markiem Wiliamsem oglądało w Chinach 150 mln widzów. Eurosport regularnie pokazuje snookera w Europie od 2003 r. (wcześniej robił to sporadycznie), a w ubiegłym sezonie ilość transmisji przekroczyła 1500 godzin, co przyciągnęło do odbiorników 88 mln widzów. W tym roku te liczby mogą być wyższe, bo trend jest rosnący.

• • •
- Były takie momenty, że dziennikarze nie mogli się ode mnie opędnąć. Wskakiwałem nawet z łodówki, a ludzie byli już zmęczeni mną i tym moim nawijaniem o snookerze. Śmiało się ze mnie, gdy mówiłem, że sprowadzę do nas O'Sullivana, Selbiego, Robertsona - wspomina Nitschke, który jednak dopiął swego i po 2010 roku zorganizował serię pokazowych turniejów Hot Shot Masters, w których występowały przedstawiciele showbiznesu, ale przede wszystkim właśnie ci najlepsi na świecie zawodnicy. A w listopadzie 2012 r. pojawił się nie kto inny, jak sam O'Sullivan.

- Blisko 3 tys. ludzi na hali CRS krzyczało to, co słysząc w transmisjach z zawodów: „Common Ronnie!” - wspomina. - Byli u nas Mark Selby, Shaun Murphy, Ken Doherty, Jack Lisowski, Ali Carter, Neil Robertson czy Judd Trump - grube ryby snookera. Ściągałem te gwiazdy po to, żeby przebić się przez najpopularniejsze w mieście sporty - żużel i koszykówkę, żeby i miasto, i cała Polska usłyszała, że Zielona Góra dobija się już do miana stolicy polskiego snookera. To wszystko przyniosło zakładany efekt - do klubu zaczęli zaglądać rodzice z dziećmi. Tak pojawił się Antek Kowalski z tatą, podobnie Mateusz Baranowski. Tak z Kozuchowa dotarł późniejszy wicemistrz świata Adam Stefanów. Pamiętam te rozmowy.

• • •
Przy jednym ze stołów pojawia się taka właśnie para - ojciec z synem.

- Od lat gram w bilarda, ale niedawno wystartowałem w snookerowych Mistrzostwach Polski Biznesu Artystów i Sportu i... wygrałem - mówi Tomasz Osman. - Mikołaj ma dziewięć lat i od grudnia trenuje w akademii snookera, ma także prywatne lekcje z Mateuszem Baranowskim. Rozwijają się w niesamowitym tempie i widać że bardzo chce. Zresztą to on mnie dziś tu zaciągnął. Wróciłem z delegacji, a on poprosił, żebym zabrał go wcześniej ze szkoły i żebyśmy sobie potrenowali.

Przy stole obok trenuje właśnie Baranowski. To pięciokrot-

ny mistrz Polski, uczestnik zawodowego Main Touru (World Snooker Tour), czyli najbardziej elitarnych rozgrywek na świecie, w których udział bierze ok. 128 zawodników. W tej chwili jest w nim trzech Polaków (oprócz Antka Kowalskiego i Mateusza także 15-letni Michał Szubarczyk - najmłodszy uczestnik w historii), a wcześniej występowali w nim jeszcze dwaj - Kacper Filipiak i Adam Stefanów (ten ostatni także z zielonogórskiej akademii).

Baranowski ma swój prywatny stół, który różni się od pozostałych - zawodowcy mają mniejsze luzy (otwory do których są wbijane bile) o ok. 4 mm, co jest kolosalną różnicą. Mateusz pokazuje mi to w prosty sposób. Ustawia bilę w taki sposób, że jest nie do wbicia. Ponawia ustawienie na stole obok i swobodnie pakuje ją do luzy. Wskazuje na jeszcze jedną zasadniczą różnicę.

- W zawodach amatorskich, jeśli podczas frame'a (pojedyncza rozgrywka) pomyślę się nawet dziesięć razy, to mam szansę wrócić do stołu i nawet wygrać. W zawodowym meczu trzy błędy zwykle oznaczają przegraną - mówi. W kwalifikacjach do mistrzostw świata odpadł w drugiej rundzie, przegrywając z Anglikiem Ricky Waldenem, a wcześniej pokonując Florianą Nussle z Austrii. Nie jest zadowolony z ostatniego sezonu, ale tłumaczy, że wiąże się to z decyzją o zmianie pozycji przy stole. Korekty są minimalne (bardziej wyprostowana głowa i nieco przesunięty łokieć), ale na tym poziomie, zanim zadziałają nowe automatyzmy i będzie lepiej, trzeba wkalkulować okres ze słabszymi wynikami.

• • •
Zrobiło się popołudnie. Teraz wszystkie stoły snookerowe są zajęte. Druga grupka dzieciaków okupuje te do bilarda. Zajęcia prowadzi Mateusz Baranowski. Przechadza się między stołami, doradzając, korygując błędy. „Bliżej mostek”, „Zatrzymanie i uderzenie. Dwa osobne ruchy”, „Uderz trochę mocniej i poniżej środka”, „Pewnie, mocno, masz zagrać stopballa”. Co jakiś czas zbiera wszystkich przy jednym stole, demonstrując kolejne ćwiczenie. I znowu słysząc: „więcej rotacji”, „im mocniej zagramy, tym bardziej zmniejszy się kąt odbicia od bandy” itd. Niektórzy z ćwiczących nie potrafią nawet dosięgnąć do środka stołu i aby ustawić bilę, muszą pomóc sobie kijem.

- Ja też tak zaczynałem, zresztą Antek Kowalski również - zauważa trener.

Oprócz tego, że przechadza się wśród ćwiczących, spogląda on na nich również ze ścianą, ze zdjęcia. Obok wiszą podobizny innych mistrzów - Michała Kotiuka, Michała Szubarczyka, Antka Kowalskiego, są



Antoni Kowalski



Założyciel akademii snookera
- Marcin Nitschke.

też Adam Stefanów i Marcin Nitschke. To kadry z zawodów, w pełnej gali.

• • •
- Snooker wyróżnia się swoją etyką, dostojnością, elegancją, arystokratycznością. Mamy wizytowe spodnie, koszulę, muchę, kamizelkę, cały dress code. Czy to jest sport elitarny?

Nie! Ale jest to sport dostojny - zauważa Marcin Nitschke. - Przychodzi dziecko. Stawiamy je przy stole, patrzymy, jak się składa do uderzenia, jaki jest ruch kija. Zadajemy proste ćwiczenia. Sprawdzamy predyspozycje. A potem dużo zależy od charakteru. Mamy w swojej historii trzech zawodowych

graczy (na pięciu Polaków). Pierwszy był Adaś, później dołączył Antek i w końcu Mateusz. Kiedyś ktoś mi powiedział, że mistrzem się jest wtedy, kiedy wyszkoli się następnych. Ja oczywiście cały czas czynnie gram, niespełna dwa tygodnie temu z Pawłem Rogozą obroniłem tytuł drużynowego mi-

strza Polski. Latam na mistrzostwa świata, w 2023 zdobyłem, bardzo dla mnie ważne, dwa medale mistrzostw Europy. Kija ni e składam, ale jestem dumny z tego, że Zielona Góra doczekała się takich mistrzów. Jesteśmy snookerową stolicą Polski.

Michał Olszański

Ponoć pomysłodawcą flakonu Chanel 5 był już w 1920 r. wielki książę Dymitr Pawłowicz Romanow, a inspiracją były butelki wódki noszone przez rosyjskie wojska.



Chanel nr 5: Klucz do lepszego towarzystwa

5 maja 1921 r., nieco ponad wiek temu, narodziły się legendarne perfumy Chanel nr 5. Nie tylko upajały zapachem, ale dawały bilet wstępu do świata elit.

Skąd ów numer 5? Od tzw. ślepej próby. Twórca zapachu Ernest Beaux przedstawił Gabrielle Chanel pięć kompozycji zapachowych, z których ta wybrała ostatnią - właśnie 5 próbkę. Zapach od stu lat znaczący terytorium, do którego pariasom wstęp jest niewskazany.

Coco i Ernest

Zacznijmy od odpowiedzi na najważniejsze pytanie: tak, to prawda, to nie Coco Chanel stworzyła ten zapach, ona go tylko zaakceptowała. W 1921 r. 38-letnia Chanel, czyli Gabrielle Bonheur Chanel, była od dwóch lat właścicielką domu mody przy Rue Cambon pod marką Chanel. Proponowała klientom styl à la „skromna panią”, propagujący wygodne ubrania na bazie dzianin, np. dżerseju.

Dwa lata starszy od Chanel Ernest Beaux był w 1921 r. prawdziwą legendą perfumiarstwa. Pracował w Rosji dla firmy A. Rallet & Co., która była głównym dostawcą perfum dla dworu Romanowów. Po wybuchu rewolucji Beaux uciekł do Francji i został zatrudniony w firmie Chiris, która przejęła Rallet. To tam znalazła go Chanel i złożyła zamówienie na perfumy odpowiednie dla jej domu mody i jej stylu.

Wtę Romanowowie

Historia znajomości obojga bohaterów i sekretów ich za-

wiązków uczuciowo-biznesowych, doczekały się ogromnej bibliografii i opracowań. Większość pomija jednak informację, że Beaux, człowiek równie zdolny co obrotny, niespecjalnie się przy perfumach dla Chanel pracował.

Hal Vaughan, amerykański dziennikarz (i byłby oficer wywiadu, co wiele tłumaczy), autor tomu „Sleeping with the Enemy. Coco Chanel's Secret War” pisze wprost, że perfumiarz po prostu delikatnie zmodyfikował swoje perfumy Bouquet de Catherine, skomponowane w 1913 r. dla Aleksandry Fiodorownej, żony cara Mikołaja II.

Warto dodać, że ową Katarzyną od bukietu była caryca Katarzyna II Aleksiejewna Wielka i że w 1913 r. przypadało 300-lecie dynastii Romanowów. Beaux wyszedł zapewne z założenia, że Bouquet de Catherine nie będzie już miał zastosowania, z powodów czysto praktycznych: końca dawnej Rosji i eliminacji rodziny carskiej przez bolszewików.

Wielki książę doradca

Vaughan odtworzył dość dokładnie realia pierwszego spotkania Chanel-Beaux. Ponoć pomysłodawcą był już w 1920 r. wielki książę Dymitr Pawłowicz Romanow, znany z udziału w zabójstwie Grigorija Rasputina, w latach 20. pretendent do tronu Rosji, a przy tym ówczesny przyjaciel projektantki. Znał Beauxa jako twórcę stworzonego przezeń w 1912 r. zapachu Bouquet de Napoleon, którym z lubością skrapiali się

w Moskwie i Petersburgu arystokraci ancien régime'u. Nie bez powodu - sto lat wcześniej miała miejsce krwawa bitwa pod Borodino.

Na spotkanie w siedzibie Chiris Canal udał się właśnie z Dymitrem. Wąchanie trwało kilka godzin. Rozmawiano po francusku, ale także po rosyjsku. Gdy wreszcie Chanel zdecydowała się na piątą z kolei próbkę, Beaux zapytał ją, jak chce nazwać wybrany zapach, odpowiedziała: „Zawsze wprowadzam moją kolekcję piątego dnia piątego miesiąca, więc liczba 5 wydaje się przynosić mi szczęście - dlatego nazwę go No. 5”.

Co było dalej?

Odpowiedź może wydawać się banalna, ale do biografii projektantki pasuje jak ulał. Zgodnie z zasadą, że banały sprzedają się najlepiej. Zliczonych biografii Chanel wiemy, że autentycznie lubiła ten zapach. W przeciwnieństwie do wielu innych, które już w latach 30. komponowano w jej laboratorium perfumeryjnym przy Rue Cambon.

Beaux sprytnie zataił pochodzenie zapachu, ale kontynuował pracę dla Coco Chanel i innych domów modowo-projektowych do końca życia (zmarł w 1961 r.), pozostawiając po sobie dziedzictwo jednego z najbardziej wpływowych perfumiarzy XX w.

Porzucony przez Coco wielki książę Dymitr poznał Amerykankę Audrey Emery, spadkobierczynię wielkiej fortuny, i ożenił się z nią w 1926 r. przy wielkim zainteresowaniu opinii pu-

blicznej. Małżeństwo po dziesięciu latach zakończyło się rozwodem, ku wielkiej rozpaczy wielkiego księcia. Wiemy, że ocalone z rewolucji październikowej rodzinne perły księcia zatrzymała dla siebie Coco, tajemnica pozostaje, czy tytułarna wielka księżna używała Chanel nr 5. Byłoby to chyba zbyt perwersyjne nawet dla zabójcy Rasputina.

Trochę filozofii

Zapomniany dziś niemiecki socjolog Georg Simmel (1858-1918), który wiele uwagi poświęcał zagadnieniu postrzegania zjawisk zmysłowych, zwrócił uwagę, że człowiek poznaje świat w zależności od „natężenia” różnych narządów zmysłowych. Owo zwrócenie uwagi na rolę sensoryki w konstruowaniu rzeczywistości społecznej przyczyniło się do stworzenia przezeń podstaw dla rozwoju specjalizacji zwanej socjologią zmysłów.

Co Simmel ma wspólnego z Chanel nr 5? Wbrew pozorom sporo. Jeśli konstruujemy rzeczywistość sensorycznie, to dla zmysłu węchu kluczowe są wonie i zapachy, które można by nazwać „tożsamościowymi”. To one wyznaczają społeczno-towarzyski krąg, w którym obraca się podmiot poznawczy. Innymi słowy, elity mają swoje zapachy-klucze. Jednym z nich jest Chanel nr 5.

Ile to kosztuje?

To nigdy nie były bowiem perfumy egalitarne. Przeciwnie, reklamowano je jako zapach dla klasy wyższej. Choć od 1921 r.

były kilkakrotnie modyfikowane zapachowo (mniej więcej co dwie dekady), wciąż mają opinię tych „z najwyższej półki”. Zachowane egzemplarze perfum z lat 20. i 30. przechowywane są obecnie w specjalnie zaprojektowanych diamentowych flakonach z tzw. nasadką baudruchage. To klasyczna technika uszczelniania flakonów perfum, polegająca na nałożeniu cienkiej membrany (skóry lub materiału) na korek i zawiązaniu jej jedwabną nicią.

Wiekowy flakon Chanel Grand Extrait kosztuje dziś ok. 5 tys. dolarów. Mniej niż Clive Christian No.1 Imperial Majesty (ok. 12 tys.), Clive Christian No.1 (ok. 10 tys.), czy nawet Baccarat Les Larmes Sacree de Thebes (ok. 7 tys.). Ale tamte nie mogą pochwalić się nawet ułamkiem legendy, która przylgnęła do Chanel.

Gratis? Ależ to miłe

Kompozycję Chanel nr 5 tworzyło i tworzy ok. 80 składników, z których główne to jaśmin, róża stulistna, irys, ylang ylang, wetiweria, wanilia, ambra oraz olejek sandałowy. Najcenniejszym składnikiem jest jaśmin, pochodzący tradycyjnie z Grasse na Lazurowym Wybrzeżu. Grasse słynie ze swego przemysłu perfumeryjnego już od XVIII w. Jest ponadto światowym centrum naturalnych aromatów, co tamtejszym producentom przynosi ponad 600 mln euro rocznie.

Pierwsze flakony nr 5 trafiły do klientów na Boże Narodzenie 1921 r. Za rzeczywisty początek

sprzedaży uznaje się jednak połowę roku 1922, ze względu na to że pierwsze 100 flakonów Chanel zdecydowała się podarować swoim najlepszym klientom w ramach prezentu świątecznego. Ta nietypowa promocja, idealnie pasująca w megalomańskie gusta elit, okazała się bezcenną inwestycją - jakby to określił Simmel - w „sensoryczne poczucie wyższości”.

Bracia zza oceanu

Coco Chanel perfumy promowała, ale ich nie produkowała. Tym od 1924 r. zajmuje się konsorcjum, w którym projektantka miała 10 proc. udziałów, natomiast reszta należała do rodziny Wertheimer. Dziś marka Chanel jest w całości prywatną własnością tej rodziny.

Powiedzieć, że reprezentują ją bracia Alain Ernest i Gérard Paul Philippe są ekscentryczni, to jakby nic nie powiedzieć. Wertheimerowie nie mają w zwyczaj się pokazywać nawet podczas wizyt w siedzibie swej firmy w Paryżu. Podobno są entuzjastami muzyki klasycznej i bywają w Théâtre du Châtelet, rokrocznie oglądają też wyścigi konne l'Arc de Triomphe. Nie czują się jednak w obowiązku uczestniczyć w wydarzeniach organizowanych przez Chanel. Prywatnie wydają się prowadzić dyskretnie życie w otoczeniu najbliższych rodzin.

Czy ich żony i córki lubią zapach nr 5? Nie wiadomo. Brigitte Laloum, żona starszego z braci - Alaina Ernesta - zapytana w 2001 r. przez dziennikarkę „Cosmopolitan” o legendarne perfumy, sprytnie wykręciła się od odpowiedzi.

Zapach i polityka

Można powiedzieć, że milczenie Brigitte Laloum w tej kwestii nie ma znaczenia. Bo skoro numer 5 upodobała sobie Marilyn Monroe, a reklamowały je Catherine Deneuve, Carole Bouquet, Nicole Kidman i Estella Warren (nie tylko aktorka, ale też pływaczka synchroniczna), legenda marki ma się wciąż doskonale.

Wspomniany Hal Vaughan sugeruje, że nie zaszkodziły jej wypadki, które inne marki zmiołyby w niebyt. Choćby ewidentną kolaborację Coco Chanel z hitlerowcami, czy jej jawnie antysemickie poglądy. Chanel nr 5 łączyła i łączy elity ponad polityką - sugeruje Vaughan, niczym jakiś sekret, niewidzialny dla społeczeństwa żyfr.

Przykład? Po wywołaniu Francji przez aliantów, we wrześniu 1944 r., Coco została na krótko aresztowana, ale szybko wypuszczono ją na wolność, m.in. dzięki protekcji Winstona Churchilla. Do Francji powróciła dopiero w 1954 r., jak gdyby nigdy nic, proponując kostium składający się z prostego żakietu bez kołnierzyka, wykończony pleciami, w zestawieniu ze spodniczką do kolan.

Mariusz Grabowski

Długie pożegnanie z czarną ospą. W tle wątek polski



Ubiór ochronny służby zdrowia w okresie epidemii we Wrocławiu.

FOT. CC

8 maja 1980 r., Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) oficjalnie ogłosiła, że ludzkość na całym świecie jest wolna od czarnej ospy.

Ospa, wywołana przez wirusa ospy prawdziwej (Orthopoxvirus) nękała ludzkość przez co najmniej 3 tys. lat, zabijając 300 mln ludzi w samym tylko XX w. Ostatni odnotowany przypadek ospy miał miejsce w 1978 r.

Paniczny strach

W deklaracji „Wykorzenienia ospy w świecie” uchwalonej przez Światową Organizację Zdrowia w Genewie 8 maja 1980 r., czytamy: „Trzydzieste trzecie Światowe Zgromadzenie Zdrowia uroczysto oświadcza, że cały świat i wszyscy ludzie zostali uwolnieni od ospy, która była najstraszniejszą chorobą szalejącą w formie epidemii w wielu krajach od najdawniejszych czasów, pozostawiają po sobie śmierć, ślepotę i oszpeccenie...”

Ospa budziła strach od zawsze. Ślady wysypki spowodowanej ospą znaleziono nawet na twarzy mumii Ramzesa V (1160 r. p.n.e.). Pierwsze jej objawy - wysoka gorączka i zmęczenie przez wieki powodowały panikę, kolejne - charakterystyczna wysypka, która pojawia się w szczególności na twarzy, rękach i nogach - zamieszki i rozruchy. Potem było jeszcze gorzej - wykwitły wypęniały się plynem, później ropa, a z czasem przekształcały się w strupy.

Śmiertelność 30 proc.

„W nieustającym pochodzie śmierci ospa niszczyła całe narody, zabijając zarówno ubogich, jak możnych i monarchów, dziesiątkowała armie, zmieniała losy krajów, kształtowała wierzenia; w Afryce, w Chinach i w Indiach ospa miała swe bóstwa i swoje świątynie. Praktyki religijne

przyczyniały się między innymi do utrzymania endemii i szerzenia się epidemii tej choroby” - pisał Jan Kostrzewski w rozprawie „Świat wolny od ospy”.

Dziś wiemy, że wirus wywołujący chorobę, czyli należący do herpesvirusów Orthopoxvirus, przenosił się głównie przez bezpośredni kontakt z osobami chorymi oraz drogą kropelkową. Istniało też ryzyko zakażenia przez kontakt z ubraniami, pościelą i przedmiotami, z którymi miał styczność chory.

Śmiertelność ospy prawdziwej wynosiła średnio do 30 proc., ale zależała też od postaci choroby i mogła być wyższa. Najbardziej agresywne odmiany ospy prawdziwej zabijały nawet ponad 80 proc. osób zarażonych. Najwyższą umieralność obserwowano u osób nieszczepionych.

Jest nadzieja

Krokiem milowym w zrozumieniu, na czym polega nabieranie odporności na ospę, były próby opanowania jej za pomocą immunizacji, czyli uodpornienia organizmu na działanie czynników chorobotwórczych. Historia ta sięga XI-wiecznych Chin, z których pochodzą pierwsze wzmianki o stosowaniu strupów pobranych od osób przechodzących łagodną formę ospy i aplikowaniu ich zdrowym obywatelom w celu uodpornienia.

Zabieg ten, zwany w epidemiologii wariolizacją, zyskał jednak na popularności dopiero pięć wieków później, wtedy pojawiły się również pierwsze instrukcje, jak przeprowadzić go prawidłowo. Do najbardziej rozpowszechnionych metod należało wdmuchiwanie do nozdrzy wysuszonych i zmielonych strupów oraz umieszczanie w nosie waty nasączonej płynem pochodzącym z krost.

Momentem przełomowym w historii pokonania ospy były obserwacje poczynione przez Benjamina Jesty'ego, który powiązał skutki wirusa krowianki, występującego głównie u bydła, ale niestanowiącego zagrożenia dla ludzi, z odpornością na zarażenie się chorobą. Postanowił podawać więc zarażonym wirus krowianki. 14 maja 1796 r. przeprowadził szczepienie na 8 letnim chłopcu, uznawane za pierwszy tego rodzaju zabieg w historii. Pacjent nie zachorował i dożył starości.

Czy to już koniec?

Już w 1881 r. na cześć odkrycia Jennera Ludwik Pasteur zaproponował nazwanie go terminem „vaccination” (z łac. vacca - krowa), czyli „wakcynacja” (szczepienie). Wiadomość o sukcesie zabiegu obiegała cały świat, jednak aż do lat 60. XX w. szczepienia nie były popularne, a liczba zakażeń utrzymywała się na poziomie 10-15 mln rocznie. Zaczęła spadać dopiero po wprowadzeniu w 1967 r. Światowego Programu Eradykacji Ospy Prawdziwej. Rozpoczęcie procesu powszechnych i obowiązkowych szczepień doprowadziło do całkowitego wykorzenienia tej choroby.

Co ciekawe, pojawiają się głosy, że wyeliminowanie ospy odrąbiono nieco na wyrost. Jest bowiem wielce prawdopodobne, że nie wszystkie kraje zastosowały się do Konwencji o zakazie prowadzenia badań, produkcji i gromadzenia zapasów broni bakteriologicznej i toksycznej oraz o ich zniszczeniu z 1972 r.. Wciąż zatem istnieje zagrożenie użycia wirusa ospy jako broni biologicznej. Jest to prawdopodobne z uwagi na jego wysoką zakaźność, łatwość szerzenia się zachorowań, wysoką śmiertelność oraz niewielkie koszty produkcji.

Czający się wirus

Dowody są na wyciągnięcie ręki: W lipcu 2014 r. przez amerykańskie media przemknęła wiadomość, że w pomieszczeniach gospodarczych laboratorium Narodowych Instytutów Zdrowia w Bethesda w stanie Maryland (w 1972 r. je przejęła Agencja Żywności i Leków), odkryto próbki wirusa ospy prawdziwej pochodzące z lat 50. XX w.

Z kolei w 2017 r. zespół kanadyjskich naukowców pod kierownictwem wirusologa Davida Evansa z Uniwersytetu Alberta w Edmonton syntezował bliźkiego krewnego ospy prawdziwej. Dokonali tego dzięki materiałowi DNA „dostarczonego pocztą z publicznie dostępnych źródeł” przez niemiecką firmę Geneart, która specjalizuje się w syntezach DNA na zamówienie. To dowód, że podobna możliwa dla każdego, kto dysponuje odpowiednimi umiejętnościami i zasobami.

Epidemia z 1972 r.

Odnajdujemy dla porządku, że ostatnim dużym zarzewiem ospy w Europie była epidemia w Jugosławii w 1972 r. Ogni-skim zakażeniu okazał się pielgrzym, który powrócił z Bliskiego Wschodu, gdzie zakaził się wirusem. Epidemia objęła 175 osób, z których 35 zmarło (śmiertelność wyniosła więc 20 proc.).

Władze ogłosiły stan wyjątkowy, wprowadziły kwarantannę oraz masowe ponowne szczepienia obywateli, korzystając z pomocy WHO i Donalda Hendersona. W ciągu 2 miesięcy epidemia została jednak powstrzymana.

Ostatni naturalny przypadek variola minor został zdiagnozowany 26 października 1977 r., a ostatni przypadek groźniejszej variola major dwa lata wczes-

niej, w listopadzie 1975 r. Oblicza się, że kompletne wyeliminowanie ospy kosztowało 300 mln dolarów.

Nieco sensacyjne zakończenie historii ospy opisali Ken Alibek Stephen Hadelman w „Biohazardzie” - w 1978 r. wirus wydołał się z laboratorium naukowego w Birmingham. Bezpośrednio w wyniku choroby zmarła Janet Parker, pełniąca funkcję fotografa medycznego, natomiast prof. Henry Bedson, naukowiec odpowiedzialny za badania ospy na uniwersytecie, popełnił samobójstwo.

Ospa na Dolnym Śląsku

W Polsce powszechny obowiązek szczepień przeciwko ospie czarnej wprowadzono już w 1951 r. (zniesiono go w 1980 r., po deklaracji WHO). Jednak to właśnie w Polsce, we Wrocławiu, wybuchła w maju 1963 r. jedna z ostatnich w Europie epidemii ospy prawdziwej. Pierwszą jej śmiertelną ofiarą była pielęgniarka Lonia Kowalczyk, która miała styczność z zakażonym Bonifacym Jedynakiem, który akurat wrócił z Birmy i Wietnamu.

Stan epidemii ogłoszono 17 lipca, odwołano go 19 września. W czasie trzech miesięcy zachorowało 99 osób, z których siedem zmarło. Miasto zostało na kilka tygodni sparaliżowane i odcięte od reszty kraju kordonem sanitarnym. Wprowadzono zakrojony na szeroką skalę program profilaktyczny, umieszczając osoby podejrzane o kontakt z chorymi w izolatoriach. Zaszczepiono wówczas 98 proc. mieszkańców Wrocławia. Tym, którzy nie chcieli podporządkować się wprowadzonym przepisom, groziły wysokie grzywny, a nawet więzienie. Stworzono też karne izolátky dla - zawsze pojawiających się w podobnych sytuacjach - awanturników i buntowników.

Znaczenie szczepień

Jednym z najważniejszych zadań, jakie władze postawiły sobie w walce z ospą prawdziwą, było rozpoczęcie wspólnych szczepień. We Wrocławiu wprowadzono je 17 lipca i początkowo były dobrowolne.

Tylko w trzech pierwszych dniach akcji zaszczepiło się 124 tys. osób, a do 22 lipca - 180 tys. Dla porównania w 1962 r. w Polsce przeciwko ospie prawdziwej ogółem zaszczepiono ok. 200 tys. osób. z dniem 1 sierpnia 1963 r. wprowadzono szczepienia przymusowe i obowiązek ten objął wszystkich mieszkańców miasta, bez wyjątku, również tych, którzy wcześniej zostali z niego zwolnieni.

Osoby poddane szczepieniu (skaryfikacji) otrzymywały zaświadczenie o wykonaniu zabiegu, które od tej chwili należało, podobnie jak dowód osobisty, nosić przy sobie i okazywać na wezwanie. Ale pomimo powagi sytuacji nie zdecydowano się całkowicie zamknąć miasta. Kina, teatry, sklepy i kluby działały jak przed pojawieniem się choroby.

Jak widać, polskie władze sanitarne poradziły sobie z ospą dość sprawnie. Światowa Organizacja Zdrowia przewidywała bowiem, że epidemia potrwa dwa lata i w jej wyniku zachoruje do 2 tys. osób, a umrze 200.

Mariusz Grabowski



We Wrocławiu w maju 1963 r. wybuchła jedna z ostatnich w Europie epidemii ospy prawdziwej.

FOT. CC



Druskieniki to ulubiony kurort Józefa Piłsudskiego. Tutaj w towarzystwie płk. Marcina Woczyńskiego przy mostku na Rotniczance.

FOT. CC

Litwo, ty jesteś jak zdrowie...

Lekarze zalecali, aby jeździć do wód za granicę, ale marszałek Józef Piłsudski nad szwajcarskie kurorty przedkładał Druskieniki. Mówił, że dla zdrowia potrzebuje właśnie tego krajobrazu. Dziś nie tylko Druskieniki, ale i inne litewskie uzdrowiska otwierają się na polskich turystów.

Dla Polaków Litwa nigdy nie była zwykłym kierunkiem turystycznym. Jest bliska geograficznie i historycznie. Kojarzy się z Wilnem, Ostrą Bramą, Mickiewiczem, zamkiem w Trokach i Druskienikami z czasów II Rzeczypospolitej. A jednocześnie dziś chętnie pokazuje nowoczesną twarz również innych kurortów: świetne sanatoria, dobrze rozwinięta balneologia i luksusowe hotele, gdzie w recepcjach mówi się po polsku. W końcu Adam Mickiewicz nieprzypadkowo pisał: „Litwo, ojczyzna moja, Ty jesteś jak zdrowie”.

W ramach wzmocnienia wizerunku Litwy jako kierunku turystycznego, w tym zdrowotnego, w dniach od 13 do 17 kwietnia w Druskienikach odbyło się pierwsze Forum Turystyki Sanatoryjno-Uzdrowiskowej, zorganizowane przez Polską Izbę Turystyki, Lithuania Travel oraz gminę Druskieniki. Zaproszono polskie biura podróży, dziennikarzy i litewskich przedstawicieli branży uzdrowiskowej. A jest o co zabiegać.

W ubiegłym roku Litwę odwiedziło około 1,5 mln turystów zagranicznych, więcej niż rok wcześniej, ale wciąż mniej niż przed pandemią. W 2019 roku było ich około 1,9 mln. Dziś Polacy zajmują pierwsze miejsce wśród zagranicznych gości: przyjechało ich około 174 tys., czyli 12 proc. całego zagranicznego ruchu turystycznego. - Zachęcamy do ponownego odkrywania Litwy, i to w nieoczywisty sposób. Nasz kraj to nie tylko zabytki, ale autentyczne doświadczenia i luksus w ciszy - mówi Olga Gončarova, dyrektor zarządzająca Lithuania Travel, narodowej agencji rozwoju turystyki, działającej przy Ministerstwie Gospodarki i Innowacji Litwy.

Z badań wynika, że polscy turyści lubią zwiedzać miasta, dobrze zjeść i wypocząć na łonie przyrody. Litwa ma to wszystko, ale ma też uzdrowiska: Druskieniki, Birsztany, Połągę i Neringę. Każde jest inne, ale razem budują wspólną ofertę: blisko Polski, bezpiecznie, naturalnie, z dobrą jakością i ceną, i coraz mocniejszym nastawieniem na polskiego gościa.

Litwini chcą wyjść poza oczywisty krąg: niech to nie będą tylko turyści z pogranicza, nie tylko z Warszawy, nie tylko sentymentalny wyjazd do Wilna. Chcą przyciągnąć rodziny, seniorów, ludzi po zabiegach, osoby szukające rehabilitacji,

ale też tych, którzy są po prostu zmęczeni i chcą odpocząć bez dalekiej podróży. Można pojechać samochodem, autokarem albo samolotem. W wielu miejscach można porozumieć się po polsku. Czyli: być za granicą, ale po naszymu, bez poczucia obcości.

Druskieniki czyli Piłsudski, borowina i śnieg pod dachem

Druskieniki to dla Polaków najbardziej rozpoznawalne z litewskich uzdrowisk. Przed wojną leżały w granicach Polski i były modnym kurortem II Rzeczypospolitej. Przyjeżdżali tu lekarze, wojskowi, urzędnicy, artyści, zamożne rodziny. Nie tylko po to, żeby bywać. Przyjeżdżali po zdrowie: wodę mineralną, borowinę, powietrze, spacer i odpoczynek.

Od 25 lat Druskienikami rządzi burmistrz Ričardas Malinauskas. W tym czasie kurort bardzo się zmienił. W ubiegłym roku przyjechało tu około 400 tys. gości, a gdyby doliczyć wizyty jednodniowe, liczba odwiedzających sięgnęłaby miliona. Burmistrz podkreśla jednak, że nie poświęci przyrody dla rozwoju miasta. Tu ponad 80 proc. powierzchni gminy zajmują lasy. Jedną z najważniejszych grup gości są Polacy. Wprost mówi o tym, i to po polsku - Rimantas Palionis, dyrektor druskienickiego Centrum Informacji Turystycznej. Przy-

ciąga ich historia, ale nie tylko. Druskieniki mają dziś rozbudowaną bazę sanatoryjną, hotele spa, rehabilitację, aquapark, ścieżki spacerowe i rowerowe, infrastrukturę sportową oraz Snow Arenę, czyli zadaszony kompleks narciarski ze śniegiem przez cały rok. - Na Druskieniki można patrzeć jak na duży hotel rozpisany na całe miasto. Jedno skrzydło jest sanatoryjne: zabiegi, borowina, wody mineralne, rehabilitacja. Drugie to spa i wellness: krótsze pobyty, weekendy, regeneracja. Trzecie jest sportowe i rodzinne. W jednym miejscu jest więc klasyczne uzdrowisko, tropikalny aquapark i stok narciarski pod dachem, gdzie śnieg jest przez cały rok - mówi Rimantas Palionis. Do tego dochodzi baza dla sportowców: piłka nożna, koszykówka, siatkówka, pływanie, sztuki walki, narciarstwo. Według lokalnych przedstawicieli trenują tu zawodnicy z wielu dyscyplin i krajów, w tym także kluby z Polski.

Druskieniki planują kolejne inwestycje. W ciągu roku ma powstać pałac kongresowy i nowoczesny dworzec autobusowy. Burmistrz zapowiada też atrakcję rzadką w europejskich miastach: balon widokowy startujący z terenu zabudowanego. Ma to wzmocnić ofertę turystyczną, ale nie kosztem lasów i uzdrowiskowego charakteru miejsca.

Najciekawsza historia Druskienik zaczyna się jednak od parku zdrowotnego i doktor Eugenii Lewickiej. W latach międzywojennych prowadziła tu Zakład Leczniczego Stosowania Słońca, Powietrza i Ruchu. Była, jak na swoje czasy, nowoczesną lekarką. Propagowała gimnastykę, rehabilitację, ruch, leczenie świeżym powietrzem. W parku ćwiczyli mężczyźni, kobiety i dzieci. Chodziło o to, by ciało wzmacniać, a nie tylko posłuszeństwa. Palionis przypomina, że Lewicka przywoziła do Druskienik skandynawską ideę zdrowego życia. Miała zachęcać nawet zamożne panie z Polski, by chodziły po parku boso, bo to dobre dla zdrowia. Na tamte czasy był to odważny pomysł lekarki. Ale nade wszystko, o czym Litwini lubią wspominać, z Druskienikami związany był Piłsudski.

Marszał przyjeżdżał tu najpierw z rodziną, potem sam - tak Piłsudskiego nazywa Rimantas Palionis. - Marszał zatrzymał się w skromnym domu, dziś już go nie ma, ale na pamiątkę postawiono tam ławeczkę poświęconą polskolitewskiej historii. W mieście zachowała się pamięć miejsc, w których bywał marszałek. Z doktorą Lewicką łączył go płomienny romans, opisywany później przez biografów, ale dla historii kurortu ważniejsze jest

coś innego: Druskieniki były wtedy miejscem, w którym spotykały się zdrowie, polityka i prywatność. Dziś kurort nie próbuje żyć wyłącznie dawną sławą. W hotelach i sanatoriach można spotkać personel mówiący po polsku, co nie jest bez znaczenia dla starszych gości. Człowiek, który przyjeżdża na rehabilitację, chce rozumieć lekarza, zabieg i plan dnia. Druskieniki mają także tę przewagę, że mimo rozwoju nie są oblepione reklamowym chaosem. Między sanatoriami, hotelami, parkiem i rzeką zostaje przestrzeń. Widać drzewa, ścieżki, wodę, ludzi spacerujących bez pośpiechu. Można tu przyjechać na turnus, weekend spa, rodzinny wyjazd, trening sportowy albo po prostu na kilka dni wytchnienia. Na jednych zadziała historia Piłsudskiego. Dla innych liczyć się będzie borowina. Dla dzieci z pewnością atrakcją będzie aquapark. A dla wszystkich atrakcją będzie las, rzeka Niemen i pyszna litewska kuchnia: cepeliny, chłodniki, kołduny.

Birsztany, czyli uzdrowisko w ludzkiej skali

Jeśli Druskieniki są kurortem rozległym i znanym, to Birsztany są bardziej kameralne, schowane w zakolach Niemna. Miejscowość liczy około czterech tysięcy mieszkańców, ale rocznie przyjmuje około 200 tys. turystów.

- Druskieniki mogą przyciągnąć więcej ludzi. My przyjmujemy ich mniej, ale bardzo jakościowo - mówi Rūta Kapačinskaitė, dyrektor Centrum Informacji Turystycznej w Birsztanach.

Birsztany nie próbują być kurortem od wszystkiego. Miasto nie ma ambicji przyciągnąć tłumów, bo ogranicza je sama natura: rzeka, pętla Niemna i obszary chronione. Dzięki temu nie traci tego, co w uzdrowisku najważniejsze, czyli spokoju i kojących zalet przyrody. Podstawą tutejszej oferty jest balneologia, terapia borowinowa, woda mineralna i leczenie naturalnymi czynnikami. Birsztany przypominają, że w litewskiej historii uzdrowiskowej mają kilka pierwszych razów. To tu po raz pierwszy zaczęto stosować borowinę do celów leczniczych, tu po raz pierwszy certyfikowano wodę mineralną używaną w leczeniu i tu po raz pierwszy użyto dietetycznego podejścia do pobytu kuracyjnego. Miasto podkreśla też związek z filozofią Kneippa, czyli połączeniem wodolecznictwa, ruchu, ziół, odżywiania i równowagi psychicznej. W praktyce pobyt w sanatorium odbywa się w rytmie idealnym dla ciała i ducha: rano zabiegi, potem spacer, picie wody mineralnej, odpoczynek, posiłek, sen. W Birsztanach można pójść nad Niemen, wspiąć się na 55-metrową wieżę widokową, najwyższą na Litwie, skąd roztacza się widok na zakola Niemna.

Birsztany chlubią się współpracą z uzdrowiskami po obu stronach granicy. W ramach programu Interreg „Partnerstwo uzdrowisk dla rozwoju pogranicza” współpracują Augustów, Birsztany, Druskieniki, Gołdapi i Supraśl. Wartość programu to około 7 mln euro. Dzięki niemu budowano lub odnawiano infrastrukturę w polskich i litewskich kurortach, m.in. amfiteatr w Gołdapi, pomosty w Augustowie, plażę nad jeziorem Necko, ścieżki rowerowo-piesze i park w Druskienikach.

Birsztany słyną też z balonów. Rūta Kapačinskaitė żartuje, że to balonoterapia, dobra na lęk wysokości. Według miejscowych opowieści baloniarstwo zaczęło się tu dzięki polskim pilotom, którzy uczyli Litwinów latać. Dziś lot nad zakolami Niemna jest jedną z najbardziej efektownych atrakcji.

Dla polskiego turysty ważny jest też język i medyczne zaplecze. Jednym z najważniejszych adresów jest sanatorium Eglės, działające na Litwie od 1972 roku. Ma ośrodki w Druskienikach i Birsztanach. Albert Zyniewicz z Eglės Sanatoriumu mówi, że oba ośrodki mogą łącznie przyjąć około dwóch tysięcy gości, a około 30 proc. personelu stanowią pracownicy z wykształceniem medycznym. To odróżnia sanatorium od zwykłego hotelu spa. W recepcjach i przy rezerwacjach można porozumieć się po polsku. Sanatorium ma też osoby obsługujące polskich klientów jeszcze przed przyjazdem. Przyjmuje pacjentów z bólem kręgosłupa, problemami neurologicznymi, chorobami stawów, układu oddechowego czy po leczeniu onkologicznym. Zyniewicz podkreśla, że Polacy należą dziś do najważniejszych klientów sanatoriów, wyprzedzając m.in. gości z Niemiec i Izraela. Litewskie ośrodki mocniej inwestują więc w polski rynek. W ofertach pojawiają się pobyty długoterminowe, turnusy z kilkoma zabiegami dziennie, dostępem do basenów, saun, pijalni wód mineralnych i rehabilitacją pod nadzorem specjalistów.

W czasie forum padła jednak ważna informacja praktyczna: w obecnym stanie prawnym NFZ nie refunduje kuracji sanatoryjnych poza granicami Polski. Mówił o tym wiceprezes NFZ Miłosz Anszakowski. Wyjazd do litewskiego sanatorium jest więc dziś dla polskiego pacjenta pobytem prywatnym, ale przy dłuższych pakietach może być atrakcyjny cenowo.

Połoga i Neringa, czyli Bałtyk, bursztyn, molo

Litewskie uzdrowiska nie kończą się nad Niemnem. Mają też morski charakter. Połoga, czyli Palanga, to największy kurort Litwy i letnia stolica kraju. Poza sezonem jest spokojniej i bardziej zdrowotnie.

Rasa Kmitienė, dyrektorka Centrum Informacji Turystycznej



Molo w Połdze jest imponujące. No i wejście na nie jest zupełnie bezpłatne.

nej w Połdze, mówi, że gdyby trzeba było opisać kurort jednym zdaniem, brzmiałoby ono: „Połoga - wybierz to, co lubisz”. Można zatrzymać się w hotelu wysokiej klasy albo w prywatnej kwaterze. Zjeść w barze albo w restauracji o wyższym standardzie. Spędzać czas aktywnie, na rowerze i przy sportach wodnych, albo po prostu spacerować nad morzem. Tradycja wypoczynkowa Połogi sięga XIX wieku i jest związana z Tyszkiewiczami. To oni rozwijali miejscowość jako elegancki kurort nad Bałtykiem. Do dziś jednym z najważniejszych miejsc jest pałac Tyszkiewiczów, w którym mieści się Muzeum Bursztynu, otoczone parkiem botanicznym. Bursztyn to część lokalnej tożsamości. W ofercie znajdują się także bursztynowe zabiegi i łaźnie. Sercem Połogi jest ulica Jonasa Basanavičiusa - deptak, który Kmitienė nazywa jedną wielką restauracją. Ma około 900 metrów i prowadzi do drewnianego mola wychodzącego daleko w morze. Porównanie z Sopotem nasuwa się samo, ale miejscowi szybko zaznaczają różnicę: w Połdze wejście na molo jest bezpłatne o każdej porze roku.

Połoga przyjmuje około półtora miliona turystów rocznie, wliczając gości jednodniowych. Około 40 proc. stanowią turyści z zagranicy. Miasto ma własne lotnisko, choć dziś z Polski najłatwiej dostać się tam z przesiadką, przez Rygę. Litewska branża turystyczna liczy, że z czasem pojawią się bezpośrednie połączenia. Przez lata Połoga kojarzyła się głównie z latem. Teraz mocniej rozwija turystykę zdrowotną i rehabilitacyjną. Według informacji przekazanych przez Centrum Informacji Turystycznej działa tu jedenaście placówek oferujących usługi uzdrowiskowe i rehabilitacyjne. Jednym z więk-

szych obiektów jest Gradiali Wellness and SPA, położony w spokojniejszej części kurortu, niedaleko plaży i lasu sosnowego. Latem Połoga jest dla tych, którzy chcą morza, deptaka, koncertów, restauracji, rowerów i plaży. Po sezonie może być dla tych, którzy szukają rehabilitacji, jodu, spacerów i odpoczynku bez tłumów.

Przy Połdze warto dodać Neringę; to kurort na Mierzei Kurońskiej. Neringa jest nietypowym miastem-kurortem, bo składa się z kilku dawnych osad rybackich: Juodkrantė, Pervalka, Preila i Nida. Najbardziej znana jest Nida, położona na południu litewskiej części Mierzei Kurońskiej. To zupełnie inna Litwa niż Połoga, bardziej krajobrazowa. Wydmy, lasy sosnowe, stare rybackie wioski. Żeby tam dotrzeć, trzeba prze-

prawić się promem z okolic Kłajpedy, a potem jechać przez lasy i wydmy.

Litewskie kurorty idą razem

Kristina Citvarienė, dyrektorka wykonawcza Litewskiego Stowarzyszenia Kurortów, nie kryje, że Polska jest dla litewskich uzdrowisk rynkiem strategicznym. Litwini uczestniczą w wydarzeniach turystycznych w Polsce, takich jak Piknik nad Odrą w Szczecinie, promują swoje kurorty w Łodzi, Ełku czy Gołdapi, współpracując z polską branżą i środowiskiem balneologicznym. Litewskie kurorty zrozumiały, że pojedyncze, mniejsze miejscowości mogą być w Polsce słabo rozpoznawalne. Druskieniki jeszcze tak, Wilno oczywiście, Połoga trochę. Ale Birsztany, Neringa czy inne uzdrowiska nie mają tej

rozpoznawalności. Dlatego idą pod jedną marką: litewskie kurorty zdrowotne. Citvarienė podkreśla, że litewskie uzdrowiska są projektowane tak, by człowiek od razu wchodził w tryb odpoczynku. Stąd parki, ścieżki, pijalnie, sanatoria, rehabilitacja, hotele, przyroda, czyste powietrze, wody mineralne, borowina. Lina Nosevic, dyrektorka Stowarzyszenia Sanatoriów i Placówek Rehabilitacyjnych Litwy, przedstawiła podczas forum dane pokazujące skalę branży. W organizacji jest 17 hoteli spa i medycznych, wszystkie mają licencję na kurację. W ubiegłym roku udzieliły łącznie około 1,5 mln noclegów i wygenerowały 148 mln euro przychodu. W pakiecie medycznym pacjent może mieć nawet pięć zabiegów dziennie, a zabiegi wykonywane są przez

cały rok. Z polskiej perspektywy najważniejsze są cztery argumenty. Po pierwsze, odległość. Nie musimy wyprawiać się na drugi koniec Europy. Po drugie, w wielu obiektach porozumiemy się po polsku. Po trzecie, są naturalne zasoby i długa tradycja leczenia uzdrowiskowego. Po czwarte, cena idzie w parze z jakością, zwłaszcza przy dłuższych pobytach rehabilitacyjnych.

Można dopisać jeszcze dwa argumenty, które od razu rzuciły się w oczy podczas podróży po Litwie. Pierwszy to czystość krajobrazu. Litwa nie męczy oczu reklamami, nie zastania dróg billboardami, plakaty nie krzyczą z każdego płotu. Drugi to kuchnia: cepeliny, kołduny, bliny, kiszka ziemniaczana, chłodniki, szczawiowa to jest wszystko to, co Polacy rozpoznają, lubią i chętnie jedzą. A przy tym podane lepiej, niż można się spodziewać po zwykłej turystycznej knajpie. Litwa nie musi udawać Szwajcarii. Jej kurorty mają inny temperament. Druskieniki oferują historię, Piłsudskiego, wodę mineralną, borowinę i nowoczesną infrastrukturę. Birsztany to kameralność, balneologia, Niemen i ludzki rytm rehabilitacji. Połoga obok zdrowotnej oferty to Bałtyk, bursztyn i molo lepsze niż w Sopocie (bo darmowe). Neringa oferuje wydmy, lasy, ciszę i krajobraz, którego nie da się pomylić z żadnym innym.

Litewskie uzdrowiska są nowoczesne wcale nie dlatego, że wymyśliły nowe zabiegi, ale właśnie dlatego, że przypominają o czymś, co przecież dobrze znamy: że zdrowie to dobry sen, ruch, kąpiele wodne, czyste powietrze, profesjonalne zabiegi i relaksacyjne spacery. No i obiady, które smakują jak te u babci.

Anita Czupryn



Jedną z atrakcji Druskienik jest kolejka linowa, która odkrywa zupełnie nowe widoki na Niemen.

Krzyżówka panoramiczna

klaun ciało nie- bieskie	Edgar, impresjo- nista Jan Cybis	kijek sakralna brama w Indiach	
gatunek małpy zgubił okulary			
damska bluzka			
dezinte- gracja	wymu- szany przez po- rywacza	buduje gniazdo	mie- dziany lub kol- czasty
auto z Japonii	małe dziecko	wykopy na budowie	
film Holland			
wiersz miłosny	wybitny mówca	satelita Saturna	ponie- siony wydatek
pozycja społe- czna	opraco- wanie piosenki	ciemie- nienie, terror	
na polu przed siewcą			
materiał na pomniki	futro z tchórzcy	płynie przez Floren- cję	stan w USA z Des Moines
liczne na plaży naczynie na wodę	jaź złoty	węgier- ski kurort	
łódź z pnia drzewa			
faza Księ- życa	spis, lista	Zdzi- sława, śpie- wadzka	metal w rudach Uranu
roślina trująca; tojad	liczne w sieci rybac- kiej	polski zespół rockowy	
rybki akwa- riowe			
demon			

Litery z oznaczonych pól, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

Alfabetka

Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

W kolejności przypadkowej:

- utrwalenie dźwięku
- Irena, polska piosen-
karka
- roślina wodna, glon
- pochylenie głowy
- ... Lenczyk, trener
- jeden z siedmiu mę-
drców greckich
- składnik benzyny
- „Ewa” w Świecku
- oczy wilka
- klasztor prawosławny
- słowa piosenki
- tytoń do żucia
- ojciec Bolesława
Chrobrego

Krzyżówka pięciokątna

Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

- zwycięzca XIX Kon-
kursu Chopinowskie-
go
- Thomas Alva, wynal-
azca żarówki,
- polski samolot szkol-
no-treningowy,
- wymagają zakłęcia
lub różdżki.,
- był nim Jurand ze
Spychowa,
- najstarszy w rodzie,
przygotowanie gleby
pod zasiew,
- słup z flagą,
- długa u łabędzia,
- wprawa nabyta z cza-
sem; profesjonalizm.

Logogryf

Litery w polach z kropką czytane rzędami utworzą rozwiązanie – tytuł filmu.

- dojrzewający, pod-
puszczkowy ser,
- zapisy urzędowe w sta-
rożytnym Rzymie,
- zagajnik, gaik,
- część otworu okien-
nego.

Rozwiązania

Alfabetka: makaronik; alfabet-
ka: remanent; szkotka: kosmosaut; krzyżówka
krzyżówka mozaikowa: banknot; logogryf:
„Fontanna młodości”;
krzyżówka panoramiczna: makaronik; alfabet-
ka: remanent; szkotka: kosmosaut; krzyżówka
krzyżówka dwuliterowa: panienka; krzyżówka
krzyżówka pięciokątna: domena;
krzyżówka tautogramowa: panienka; krzyżówka
krzyżówka dwuliterowa: panienka; krzyżówka
krzyżówka pięciokątna: domena;

Szkotka

Do diagramu należy wpisać rzeczowniki pospolite w liczbie pojedynczej, zawierające podane słowa. Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

- Poziomo:
- szyk,
 - Pol,
 - tera,
 - list,
 - bat,
 - bobo,
 - dera,
 - sala,
 - Anka,
 - media,
 - Pol,
 - tar,
 - waga,
 - zak,
 - tal,
 - gra,
 - tor,
 - kok,
 - 35) lir,
 - kurz,
 - mat.
 - 37) mat.
- Pionowo:
- Aza,
 - bor,
 - rab,
 - łan,
 - dna,
 - oda,
 - ból,
 - gama,
 - jad,
 - gnat,
 - 19) Raul,
 - 21) Ur,
 - 25) rek,
 - 26) kat,
 - 27) Ka,
 - 29) Oz,
 - 30) Oka,
 - 31) gal,
 - 32) bon.

Pary liter w polu z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

- Poziomo:
- polka malarka w stylu art
déco,
 - dzień + noc,
 - silna zazdrość,
 - torbac z rodziny pałanek,
 - niedorośla dziewczynka,
 - wyrób przedmiotów
np. z żelaza.

- Pionowo:
- londyńska rzeka,
 - przepelnia człowieka
szczęśliwego,
 - 3) polski port rybacki,
 - port nad Jangcy (Chiny),
 - 7) „... starszej pani”,
 - 8) w stadninie koni,
 - 9) stan w USA z Jukonem,
 - 10) yerba ...

Krzyżówka dwuliterowa

- Pionowo:
- londyńska rzeka,
 - przepelnia człowieka
szczęśliwego,
 - 3) polski port rybacki,
 - port nad Jangcy (Chiny),
 - 7) „... starszej pani”,
 - 8) w stadninie koni,
 - 9) stan w USA z Jukonem,
 - 10) yerba ...

Krzyżówka mozaikowa

Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

- Poziomo:
- mały stwór z powieści Tolkienu,
 - pracuje wśród zlewki i retort,
 - np. architekt lub konstruktor,
 - AS ..., klub piłkarski.

- Pionowo:
- podstawowa kategoria etyczna,
 - kraj z cedrem w godle,
 - pruski, rosyjski i austriacki,
 - przyrząd do pomiaru kątów,
 - azjatycki ssak z rodziny psów,
 - krzyżuje osnowę z wątkiem.



Ferrari SF90 XX Spider to limitowana, dopuszczona do ruchu drogowego, ekstremalna wersja hybrydowa.

W kupowaniu drogich aut chodzi o to, żeby były... drogie!

Odwiedziłem salon Ferrari w Warszawie. Nie dlatego, że przymierzam się do zakupu, bo dla siebie szukałbym auta bardziej dyskretnego. Postanowiłem przyrzeć się tylko, co w luksusie „piszczy” i jakimi modelami w Polsce aktualnie handluje.

Salon znajduje się przy ulicy Wirażowej 21 na Okęciu, z dala od zgiełku centrum, w nowoczesnej przestrzeni przy lotnisku Chopina. Nie jest to typowy punkt sprzedaży, lecz miejsce, w którym klienci personalizują samochody. Klient może dostosować każdy detal samochodu do własnych potrzeb, wybierając spośród tysięcy kombinacji kolorów, materiałów, skórzanych tapicerek i elementów wykończeniowych.

Posiadanie odpowiedniej kwoty nie zawsze gwarantuje zakup - marka dba o to, aby nowe auta trafiały do lojalnych klientów lub kolekcjonerów. Każdy klient, który kupuje ten samochód, musi przejść swego rodzaju kurs jazdy, nauczyć się od instruktorów, jak się takim samochodem jeździ, i dopiero wtedy dostaje kluczyki. Ferrari często decyduje, kto może kupić nowy, limitowany model. Jedno z pierwszych Ferrari posiadał w Warszawie pewien biznesmen, ale żona miała wysoką, nie mieściła się w aucie i musiał jej dokupić drugi samochód.

Nie bardzo lubię popadać w zachwyty, ale faktycznie są to

samochody, które mogą budzić podziw. Ferrari to prawie religia. Składa się na nią mit założyciela firmy, Enzo, jego przedwcześnie zmarłego syna Alfredo, zwanego Dino, oraz samochody, które nigdy nie były popularne. Tę szczególną wiarę podsyca sława zdobyta w wyścigach i na konkursach elegancji. Rzadziej wspomina się o nieślubnym synu, Piero, który jest obecnie posiadaczem 10 procent akcji (głównym właścicielem jest holding rodziny Agnelli - tych od Fiata).

Legendą stali się kierowcy wyścigowi, których zabiła ambicja rozpalana przez nieustępliwego Ferrariego. Stracili życie w bolidach Ferrari, głównie w pionierskich, niebezpiecznych latach motosportu. Na torze lub podczas wyścigów zabili się Gilles Villeneuve (1982), Lorenzo Bandini (1967), Luigi Musso (1958), Peter Collins (1958), Alfonso de Portago (1957) oraz Eugenio Castellotti (1957). To także historia największych mistrzów Formuły 1, z Michaeliem Schumacherem i Nikim Laudą na czele.

Firma wywodząca się z wyścigowej „stajni” przedstawiła pierwszy samochód pod własną marką w 1947 r. na torze w Piacenzy. Był to 125 S. Powstały dwie sztuki z silnikiem V12, który stał się wizytówką Ferrari. Enzo uważał, że V12 za jednym zamachem spełni wymagania samochodów wyścigowych i szosowych. Liczył też na efekt marketingowy. 12-

cylindrowe silniki napędzały przed wojną auta najsłabszych marek, takich jak Rolls-Royce, Hispano-Suiza, Packard czy Cadillac.

Ferrari, jak wszystko co najlepsze, wykonywane jest ręcznie - to paradoks współczesnej cywilizacji. Jak coś ma być dobre, to musi być zrobione spokojnie przez człowieka, a nie spieszące się i bezduszne roboty. Widziałem kiedyś w Niemieckiej fabryce, w której produkuje się samochody. Paru panów uwijało się jak w ukropie, co jakiś czas na rowerach ro-

biąc przegląd tego, co dzieje się w hali. Wszystko było zautomatyzowane, bo człowieka zastąpiły komputery i maszyny. Zupełnie inaczej jest z produkcją Ferrari. Nikt się nie spieszy, nikt nikogo nie pogania. Najlepsze samochody świata produkowane są wolno i dlatego są najlepsze. Silnik 12-cylindrowy o mocy ponad 600 KM, szybkość ponad 300 km/h. Przyspieszenie od 0 do 100 km/h w granicach 3-4 sekund.

Ferrari w salonie na Wirażowej stoją w rzędzie, widać je z ulicy. Na ogół nie ma tu kor-

ków, więc nawet jak ktoś kupi, to będzie mógł wyjechać. Auta kosztują zdecydowanie powyżej miliona złotych. Wszystkie wystawione samochody są używane, bo nowe są tylko w fabryce Maranello koło Modeny, gdzie są produkowane. Każdy egzemplarz dla konkretnego klienta. Ferrari nie produkuje samochodów na zapas. Kontroluje liczbę egzemplarzy, aby nie „nasyć” rynku, stosując zasadę, że lepiej wyprodukować o jeden samochód mniej, aby utrzymać popyt i prestiż. Na nowe auto trzeba czekać nawet 2 lata.

Najdroższym modelem wystawionym fizycznie do sprzedaży w salonie jest egzemplarz z 2023 roku, pierwszy w historii marki 4-drzwiowy, 4-miejscowy SUV. W czasie kiedy wszyscy przepowiadali koniec wolności V12, oni umieścili taki silnik w Purosangue (z włoskiego „czysta krew”). Mimo oburzenia konserwatywistów, popyt był ogromny. Ferrari limitowało możliwość

zakupów do swoich najlepszych klientów - w pewnym momencie bańka spekulacyjna za zakup „od ręki”, by pokazać się w tym modelu, zbliżała się do miliona euro. Używany egzemplarz z przebiegiem 14 800 km kosztuje blisko 3 mln zł. Silnik: 6.5 V12, moc: 725 KM, prędkość maksymalna: 310 km/h, przyspieszenie od 0-100 km/h: 3,3 s. Zużycie paliwa jest cały czas w trakcie badań, ale jak ktoś pyta o zużycie paliwa przy zakupie takiego auta, to znaczy, że go na nie nie stać.

Wirażowa 21 staje się adresem wyjątkowym w Warszawie, gdzie prezentowane są samochody marek takich jak Ferrari, Pagani, Alpine, Aston Martin. Patrzenie na auta, które kosztują miliony, działa jak oglądanie dzieł sztuki. To pokaz inżynierskiego geniuszu, rzemiosła i luksusu, dostępny tylko dla garstki ludzi na świecie. Sprzedają tu do 80 aut rocznie - głównie używanych Ferrari.

Aureliusz Mikos



Ferrari F12 berlinetta

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne?

Telefonicznie: **800 472 852, 42 647 28 52**

Przez internet: **ibo.polskapers.pl**

W Biurze Reklamy:

Kierownik działu ogłoszeń: Magdalena Śliwińska,

m.sliwiska@polskapers.pl

tel. 502 499 114

ŁÓDŹ, ul. ks. Skorupki 17/19, tel. 502 499 448, 502 499 127

RUBRYKI I PODRUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH

NIERUCHOMOŚCI

- mieszkania - sprzedam
- mieszkania - kupię
- mieszkania - do wynajęcia
- mieszkania - wynajmę
- mieszkania - zamienię
- domy - sprzedam
- domy - kupię
- domy - do wynajęcia
- domy - wynajmę
- domy - zamienię
- lokale użytkowe - sprzedam
- lokale użytkowe - kupię

• lokale użytkowe - do wynajęcia

• lokale użytkowe - wynajmę

• lokale użytkowe - zamienię

• działki, grunty - sprzedam

• działki, grunty - kupię

• gospodarstwa

• garaże

• pośrednictwo

• inne

• bank stancji

HANDLOWE

- AGD
- RTV

• elektronika, komputery

• telefony

• car audio

• antyki

• kolekcjonerstwo, sztuka

• jubilerstwo

• filmy, muzyka

• foto, książki

• instrumenty muzyczne

• lombardy

• sport i rekreacja

• maszyny urządzenia

• materiały budowlane

• materiały opalowe

• tekstylia, odzież

• dla dziecka

• meble

• inne

MOTORYZACJA

- samochody osobowe
- ciężarowe, dostawcze
- busy autobusy
- rolnicze
- przyczepy, naczepy
- zabytkowe
- uszkodzone, rozbite
- motocykle
- części i akcesoria

• zamienię

• motofinanse

• motousługi

• inne

FINANSE BIZNES

- kredyty, pożyczki
- usługi finansowe
- usługi prawne
- biura rachunkowe
- ubezpieczenia
- oferty
- inne

NAUKA

- szkoły
- kursy/szkolenia

• języki obce

• korepetycje

• inne

PRACA

- zatrudnię
- urzędy pracy
- szukam pracy
- inne

ZDROWIE

- apteki
- pomoc całodobowa
- chirurgia
- ginekologia
- interna
- neurologia

• pediatria

• psychologia

• psychiatria

• stomatologia

• urologia

• inne specjalizacje

• przychodnie, kliniki

• laboratoria

• zabiegi

• opieka

• sprzęt medyczny

• uroda

• inne

USŁUGI

- agd rtv foto
- budowlano-remontowe

• instalacyjne

• biurowo - projektowe

• komputerowe

• krawiectwo

• montażowe

• porządkowe

• przeprowadzki

• reklamowe

• stolarskie

• radio taxi

• transportowe

• rozrywka

• uroczystości

• zabezpieczające

• inne

TURYSTYKA

- agroturystyka
- kraj
- świat
- biura podróży
- oazy i kolonie
- ogrodnicze

• wyieczki

• przewozy

• inne

ZWIERZĘTA

- lecznice
- usługi
- inne

MATRYMONIALNE

RÓŻNE

KOMUNIKATY

ZYCZENIA/PODZIĘKOWANIA

GASTRONOMIA

- dania na telefon
- usługi
- inne

ROLNICZE

- maszyny rolnicze
- ogrodnictwo
- plody rolne
- zwierzęta hodowlane
- inne

TOWARZYSKIE

USŁUGI KAMIENIARSKIE

USŁUGI POGRZEBOWE

AUTOREKLAMA

Polecamy →

strona zdrowia



Czytaj dla zdrowia

stronazdrowia.pl

Nieruchomości

MIESZKANIA - SPRZEDAM

KAWALERKA, Ip., balkon, Koziny, 602-212-139 po 17.00

MIESZKANIA - KUPIĘ

Kupię każde mieszkanie. Garaż. Za gotówkę 792-669-171

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

MIESZKANIA DO WYNAJĘCIA

23M² Widzew 1350zł, 506-592-529

M2, ok. Pionierka 1000zł + opłaty, 501-791-888

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

BUDOWLANE, Tuszyń, 695-864-032

Motoryzacja

OSOBOWE KUPIĘ

0 - 01 wszystkie kupię, 603-471-335

1 - 001 absolutnie autokup wszystkie, 533-232-606

12h autokup, 664-040-076

Auta uszkodzone - Złomowanie, 604-542-022

AUTOKUP - każdą markę. Najlepsze ceny!! Zadzwoni i Sprawdź!!!, 503-747-835

ROLNICZE KUPIĘ

1 - 001 skup ciągników i maszyn rolniczych, 533-232-606

Finanse biznes

KREDYTY, POŻYCZKI

0 - 2h. Pożyczka lombardowa, 42-658-86-44

Praca

ZATRUDNIĘ

CUKIERNIKA i piekarza. Zakład na granicy Łódź/ Konstantynów Ł., 604-459-711

DO sprzątania posesji i mycia klatek schodowych, 661-359-332

FIRMA budowlana

Zaprasza do współpracy firmy podwykonawcze oraz całe brygady

Zatrudni pracowników na stanowisko:

Pracownik ogólnobudowlany - dociepleniowiec

Pomocnik pracownika ogólnobudowlanego (bez doświadczenia)

Miejsce pracy: Łódź

Dodatkowe informacje

• Tel: 504 701 232 oraz 42 206 88 03

MECHANIKA samochodowego, 604-210-562

PANIA do sprzątania mieszkań, 793-153-722

PRACOWNIKA gospodarczego (emeryt, rencista), warunki pracy i płacy do omówienia, 42-689-96-55

Szycie, prasowanie, krojenie, wzorcownia, 602-371-680

W stolarstwie, 608-502-044

ZATRUDNIMY osoby do sprzątania zakładu produkcyjnego w Strykowie (możliwość dowozu). Mile widziane orzeczenie o niepełnosprawności, 660-521-529

Zdrowie

POMOC CAŁODOBOWA

Odrucia, alkohol, kroplówki, ciągi, 602-691-580

INTERNA

WIZYTY domowe - dr Matusiak, 601-266-571

WIZYTY domowe, 695-412-061

NEUROLOGIA

Neurolog - specjalista, 602-691-580

PSYCHIATRIA

Psychiatra, 604-406-067

STOMATOLOGIA

Kompleksowe leczenie i protetyka, protezy elastyczne, implanty, 42-258-43-43, Ł/ Chojny, ul. Gościńska 8, 42-239-83-83, ul. Nastrojowa 53

Usługi

AGD RTV FOTO

24H anteny serwis, nc+, Polsat, Cyfra plus, naziemna, 506-592-529

AGD, kuchnie, pralki, itp., 514-335-326

ANTENY taniutko, 733-955-881

Automatyczne pralki - dojazd gratis, 42-674-14-67

Pralki - Kaczmarek, 603-200-349

RTV, LCD - dojazd gratis, 889-153-215

TELE -audiovideo naprawa, 602-687-803

BUDOWLANO-REMONTOWE

DACHY krycie, naprawy, 602-281-064

DOCIEPLENIA, elewacje, gładzie, malowanie, tynki cementowo-wapienne, 660-456-287

GŁADZIE, malowanie, tapeta, karton/gips, 792-575-422

MALUJ - REMONTUJ 791-877-749

MALUJĘ i nie tylko, 506-177-580

ROZBIÓRKI koparki wynajem + mini, 502-061-012, 513-149-330

INSTALACYJNE

ELEKTOINSTALACJE, awarie, pomiary. Tanie, solidnie, 509-275-480, 42-672-06-20

ELEKTRYCZNE - awarie, 503-707-122

ELEKTRYK, 693-741-682

Hydraulik A-Z, 721-933-455

Hydraulik i czyszczenie kanalizacji, 511-333-094

Hydraulika - awarie, 509-721-995

HYDRAULIKA tanio, 788-289-668

Przepychanie kanalizacji, 509-721-995

KOMPUTEROWE

SERWIS laptopów, 733-955-881

OGRODNICZE

CIĘCIE drzew - rębak, 789-605-290

CIĘCIE drzew, rębak, karczowanie, Rozbiórki, koparki, podnośnik, 502-061-012, 513-149-330

Ogrody. Trawniki. Fachowo, 605-307-582

ZAKŁADANIE trawników, koszenie, hydrosiew, karczowanie działek, 502-061-012, 513-149-330

PORZĄDKOWE

Mycie okien, 518-926-402

PLUSKWIY karaluchy prusaki mrówki likwidujemy profesjonalnie, 730-770-870

Pranie tapicerki meblowej kanap, dywanów, itp., 510-066-975

PRZEPROWADZKI

Rutkowski przewodzątki, 501-781-201

STOLARSKIE

Meble kuchenne, inne, 42-632-33-92

INNE

TAPICERSTWO, naprawy, 42-632-33-92

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 7 dni od 1050 zł z 30% dofin. dla emerytów/ rencistów, tel 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

Matrymonialne

BIURO "Nadzieja", 30-letnie doświadczenie!, 603-579-032

WDOWIEC 66 lat niezależny finansowo pozna Panią. Cel towarzystwo - matrymonialny, 534-300-029

Różne

SKUP złomu, druki, met. kol. Dojazd. Gotówka, 505-854-654

STARE książki skup, 881-934-948

REKLAMA 0011518666

ANTYKWARIAT

Skup płyt winylowych, płyt CD, kaset magnetofonowych z muzyką.

Dojazd do klienta. Tel. 503 133 524

PIŁKARZE PSG I ARSENALU ZAGRAJĄ FINALE LIGI MISTRZÓW

Jan Hofman

Piłkarze Paris Saint-Germain zremisowali na wyjeździe z Bayernem Monachium 1:1 (1:0), a pierwsze spotkanie u siebie wygrali 5:4, i awansowali do finału Ligi Mistrzów.

0:1 - Ousmane Dembele (3), 1:1 - Harry Kane (90+4).

O obronę zdobytego rok temu trofeum zagrają z Arsenalem Londyn, który wyeliminował Atletico Madryt. Finał zostanie rozegrany 30 maja w Budapeszcie.

Bayern musiał odrobić jedno-bramkową stratę, ale stojące przed nim zadanie szybko stało się jeszcze trudniejsze. Gospodarze dali się zaskoczyć już w trzeciej minucie, kiedy kontratak PSG wykończył Ousmane Dembele.

W ubiegłym tygodniu w Paryżu obie drużyny stworzyły widowisko, które na długo pozostanie w pamięci kibiców. Po zdobytych wówczas dziewięciu golach tym razem padły tylko dwie bramki - na początku i w końcówce meczu.

PSG ma szansę zostać drugą po Realu Madryt drużyną, która



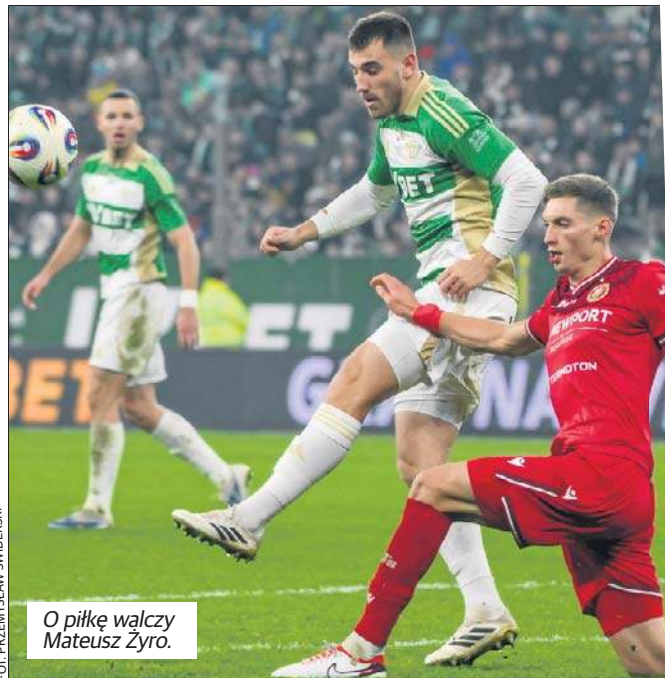
Gol Harry'ego Kane'a nie pomógł.

o obroni tytuł. Hiszpański zespół triumfował trzy razy z rzędu w latach 2016-2018. Paryżanie oprócz ubiegłorocznego triumfu mają też na koncie jeden przegrany finał LM. W 2020 roku ulegli 0:1 Bayernowi, w którego barwach grał wówczas Robert Lewandowski. A wszystko pod wodzą trenera Luisa Enrique.

Arsenal zagra w finale po raz drugi. Jedyne poprzednie spotkanie o trofeum Londyńczycy przegrali - z Barceloną 1:2 w 2006 roku. To już 71. edycja rozgrywek o Puchar Europy i drugi sezon Ligi Mistrzów w nowym formacie

FOT. PAPIERJANNA SZLĄGI

Najważniejszy mecz Widzewa w tym wieku



O piłkę walczy Mateusz Zyro.

FOT. PRZEMYSŁAW SWIDERSKI



Fran Alavarez

FOT. PAPIERJANNA SZLĄGI

W sobotę Widzew podejmie Lechię Gdańsk w meczu 32. kolejki ekstraklasy. To chyba jedno z najważniejszych spotkań piłkarskiej drużyny z Łodzi w tym wieku.

Jan Hofman

Podopieczni trenera Aleksandara Vukovicia po porażce z Legią Warszawa, znajdują się w trudnej sytuacji. Widmo spadku z ekstraklasy zająłoby w oczy widzewskich zawodników.

Dlatego sobotni mecz z Lechią (początek o godz. 14.45) urosł do rangi kluczowego wydarzenia, mającego bezpośredni

wpływ na sportową przyszłość drużyny. Sytuacja w tabeli czterokrotnych mistrzów Polski (na trzy kolejki przed zakończeniem rozgrywek) jest krytyczna i tylko zwycięstwo może dać drużynie tlen niezbędny do walki w końcówce sezonu.

Widzew jest szesnasty z dorobkiem 36 punktów, Lechia znajduje się zaledwie dwa punkty nad strefą spadkową i jest na 15. miejscu.

Niemal wszystkie media, za informacją podaną przez jedną ze stron internetowych, puściły w eter wieść, że Aleksandar Vuković, trener piłkarzy Widzewa, może zostać zwolniony. Oczywiście miałyby do tego dojść w przypadku niekorzystnego wyniku w spotkaniu Lechia.

Dość szybko pojawiał się komunikat dotyczący tej sprawy wydany przez Jakuba Dyktyńskiego, rzecznika prasowego łódzkiego klubu, w którym zdementował on medialne spekulacje wokół osoby Aleksandara Vukovicia przekazane przez wityrny fakt.pl.

„Treść artykułu nie ma pokrycia w rzeczywistości.

Uprzejmie proszę pozostałe redakcje, aby nie powielać jej w swoich publikacjach. Tymczasem drużyna i trener skupiają się tylko na najbliższym spotkaniu, w którym wesprze ich Serce Łodzi” - czytamy we wpisie.

Co ciekawe, o spokój apeluje też Paolo Urfer, prezes Lechii: - Rozgrywki ekstraklasy porównałbym do pojedynku bokserskiego, zostały jeszcze trzy rundy. Mamy problemy, ale nie jesteśmy na deskach, do nokautu daleko. Wciąż mamy swój los we własnych rękach. Wierzę w trenera Johna Carvera i naszych zawodników i w to, że zobaczymy zupełnie inny mecz w sobotę w Łodzi

Protest odrzucony, ale będzie doping



Kibice Widzewa

FOT. GRZEGORZ GAŁAŚNICKI

Jan Hofman

Widzew odwołał się od złotej kartki, jaką ukarany został Fran Alavarez, w końcówce spotkania 31. kolejki piłkarskiej ekstraklasy, w którym Legia podejmowała Widzew.

Sytuacja miała miejsce tuż przed zwycięskim golem zdobytym przez Rafała Adamskiego (Legia wygrała 1:0). Komisja Ligi poinformowała, że protest został odrzucony.

Już wiemy, że Widzew to nie Legia. Niedawno w podobnej sytuacji członkowie komisji uznali, że czerwoną kartkę Augustyniaka należy anulować (miało to miejsce przed meczem z Widzewem). Teraz jednak, gdy niemal identyczna

sprawa dotyczyła widzewiaka, nie dopatrzonego błędu sędziego.

Są dobre wieści przed tym meczem. Na facebookowym profilu grupy Ultras Widzew pojawił się wpis informujący, że kibice klubu z Al. Piłsudskiego zamierzają prowadzić zorganizowany doping. Można zakładać, że jest to efekt wtorkowego apelu właściciela klubu Roberta Dobrzyckiego, który prosił fanów o wiarę i wsparcie.

Przypomnijmy, że podczas ostatniego domowego meczu, z Motorem Lublin, piłkarze Widzewa musieli radzić sobie bez wsparcia kibiców spod „Zegara”. To był protest przeciwko postawie piłkarzy, ale także wyraz dezaprobaty dla poczynań działaczy.

Piłkarki Grot SMS grają w Poznaniu z Lechem

Jan Hofman

Przed piłkarkami nożnymi Grot SMS wyjazdowe spotkanie Orlen ekstraklasy z Lechem UAM Poznań. Sobotni mecz rozpocznie się o godz. 12.

- Nasze zawodniczki są faworytkami tego starcia, a przemawia za nim seria czterech ligowych zwycięstw z rzędu - mówi Janusz Matusiak, prezes klubu z ul. Milionowej 12. - Po minionej kolejce, dziewiętnastej w tych rozgrywkach, awansowały na 5. miejsce w ta-

beli. Teraz celem drużyny będzie utrzymanie tej pozycji i umocnienie się w górnej połowie stawki.

- Pierwsze starcie obu zespołów w tym sezonie zakończyło się wygraną łodzianek 3:1, co może budować pewność siebie przed rewanżem. Tym razem jednak wszystko rozstrzygnie się w Poznaniu, gdzie gospodynie będą chciały przerwać słabszą serię. Już do końca sezonu nie pomoże nam Kamila Osajkowska, która w trakcie treningu nabawiła się kontuzji nogi.



W kobiecym futbolu walki nie brakuje.

FOT. GRZEGORZ GAŁAŚNICKI

Kto daje pieniądze na piłkarzy ŁKS?

Struktura właścicielska piłkarskiej spółki ŁKS Łódź S.A. uległa zmianie po podwyższeniu kapitału w 2025 roku. Kapitał zakładowy wynosi 34,9 mln złotych.

Jan Hofman

Większościowym akcjonariuszem jest Dariusz Melon (ok. 66,94 procent akcji), który przejął kontrolę nad klubem, a Tomasz Salski pozostaje mniejszościowym udziałowcem z pakietem ok. 23,73 procent.

Dariusz Melon w rozmowie z Onetem, pytany o relacje z mniejszościowym udziałowcem, którym w praktyce pozostał, mimo przekazania formalnie akcji fundacji rodzinnej, poprzedni właściciel Tomasz Salski, odpowiada:

- Mówiąc wprost, pan Tomasz Salski zupełnie się wycofał i nie wspiera klubu żadnymi środkami. Mogę liczyć wyłącznie na siebie. Mamy relację na poziomie biznesowym. Od początku moim celem nie było zostać ani wiodącym akcjonariuszem, ani jedynym, który utrzymuje klub i dba o jego finanse. Pojawiłem się w klubie, by pomóc, gdyż tego wymagała sytuacja. Zostałem sam. Trzeba powiedzieć jasno i wyraźnie: jestem jedynym, który ten budżet wyrównuje. To od mojej firmy zależy, czy pokryte zostaną braki.

- Moje doświadczenie biznesowe nie godzi się na sytuację, w której należności nie są opłacone, więc musiałem sukcesywnie zwiększać swoje zaangażowanie finansowe. Podkreślam, że nie wchodziłem



Dariusz Melon i Tomasz Salski

do klubu, by go kupić i aby być jego jedynym akcjonariuszem. Brak wsparcia innych udziałowców, w tym pana Salskiego, w czasach, gdy podział akcji był zupełnie inny, spowodował, że dziś mamy taką sytuację.

Większościowy właściciel ŁKS dodał także: - Trzeba spojrzeć na dwa aspekty piłkarskiej sprawy w naszym klubie. To jak rosną wynagrodzenia w pierwszej lidze jest na pewno niewspółmiernie do przychodów klubów. Bo te związane z udziałem w rozgrywkach, pochodzące chociażby z transmisji telewizyjnych, wystarczają na pokrycie kontraktów

kilku piłkarzy. W pierwszej lidze się przepłaca. Ale sam też włączyłem się w ten proces. Nie mogę mieć do nikogo pretensji, tak to przecież działa.

Kluby są nierentowne. Mamy dwa sposoby finansowania klubów. Jest wiele spółek miejskich, które wyraźnie wypaczają rywalizację. Każdy wie o tym, jak olbrzymie środki miasto inwestuje w jedną drużynę, która jest bardzo blisko awansu, ale wiele innych klubów też utrzymuje się ze środków miejskich. Po drugiej stronie są inwestorzy indywidualni. Dochodzimy do absurdów, że piłkarze w pierwszej lidze,

będący pod względem umiejętności gdzieś na granicy Ekstraklasy i pierwszej ligi, zarabiają więcej niż dostawaliby grając klasę wyżej. To wszystko stoi na głowie i w jakiejś perspektywie czasowej, mam nadzieję, ulegnie zmianie. Bieżący sezon należy do bardzo wymagających. Uważaliśmy, że część piłkarzy, którzy regularnie pojawiali się w Ekstraklasie, nawet jeśli występowali w elicie w mniejszym wymiarze czasowym, poradzi sobie w pierwszej lidze. Nie do końca okazało się to prawdą. Efekty, kiedy spojrzymy na nakłady, są niezadowalające.

Będą wstrzykiwali sztuczną trawę w Łodzi

Jan Hofman

Reprezentacja Norwegii zabierze na rozpoczynające się 26 czerwca piłkarskie mistrzostwa świata w USA, Kanadzie i Meksyku trzech najlepszych w kraju kucharzy.

Jednym z nich jest Aron Espeland, przyjaciel z dzieciństwa napastnika Manchester City Erlinga Haalanda i złoty medalista kucharzkiej olimpiady w Stuttgarcie (2020 roku). Specjalizuje się w kuchni francuskiej.

● Argentyński skrzydłowy Gianluca Prestianni, jeśli zostanie powołany, opuści dwa pierwsze spotkania reprezentacji swojego kraju na mistrzostwach świata, po tym jak FIFA rozszerzyła na cały świat jego sześciomeczowe zawieszenie za homofobiczne zachowanie.

● Wczoraj zakończył się montaż pierwszej w Polsce „wstrzykiwanej” murawy hybrydowej na stadionie w Sosnowcu, który we wrześniu będzie jedną z aren mistrzostw świata kobiet U20. Na każdym metrze

kwadratowym wykonano 2500 wstrzyknięć włókien sztucznych na głębokość 145 milimetrów. Koszt tej operacji, ok. 1,2 mln złotych, pokrywa Międzynarodowa Federacja Piłkarska. Sztuczne włókna będą stanowiły tylko 5 procent powierzchni boiska, ale bardzo wzmocnią podłoże, a system korzeniowy będzie się dobrze rozwijał.

Po zakończeniu prac w Sosnowcu ekipa przeniesie się do Łodzi, która też będzie jednym z miast gospodarzy mistrzostw.



Murawa na stadionie ŁKS będzie jeszcze lepsza.

NAWET ULI HOENESSA NIE STAĆ NA MUNDIALOWE BILETY!

Jan Hofman

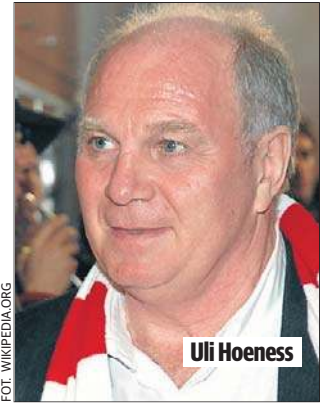
Coraz powszechniejsza staje się krytyka wysokich cen biletów na mecze rozpoczynających się 11 czerwca piłkarskich mistrzostw świata.

Swoje zdanie wyraził m.in. honorowy prezes Bayernu Monachium Uli Hoeness, który postanowił nie jechać na mundial w Ameryce Północnej.

Na stronie internetowej FIFA, na platformie zajmującej się odsprzedażą, cztery bilety na finał mistrzostw świata były niedawno oferowane za prawie 2,3 miliona dolarów każdy. - Muszę przyznać, że doprowadza mnie to do szału - powiedział. To już nie do przyjęcia. Jestem zwolennikiem komercjalizacji, ale bez takiej przesady - podkreślił 74-letni Hoeness.

Jego zdaniem, być może fani z Chin, którzy raz w roku fundują sobie taki mecz, mogliby to zrobić. Ale „racjonalnie postępujący niemiecki kibic zazwyczaj tam nie jeździ”.

Bilety na mecz otwarcia Meksyk - Republika Południowej Afryki, który odbędzie się 11 lipca w Meksyku, sprzeda-



Uli Hoeness

wane były po 2985 dolarów (2590 euro).

Na finał, który odbędzie się 19 lipca w amerykańskim East Rutherford, bilety w najdroższej kategorii miały kosztować 10 990 dolarów (9535 euro). Na rynku wtórnym, korzystnym dla FIFA, bilet w niższej kategorii na pierwszy mecz fazy grupowej reprezentacji Niemiec z Curacao w Houston sprzedawano za 2300 dolarów (1955 euro).

Stowarzyszenie kibiców „Fairness United” podkreśla, że „przeciętnie zarabiający” po prostu nie są grupą docelową tego wydarzenia.

Wiadomości w skrócie



Fragment meczu New York Knicks - Philadelphia 76ers.

Jan Hofman

Pechowo dla Dana Thompsona zakończył się mecz Premiership. Reprezentujący w Polsce barwy H.Skrzydłowska Orła Łódź zawodnik doznał urazu.

W wyniku wypadku doznał kontuzji, która wyklucza go ze startów na kilka tygodni.

● Czwarty mecz finałowy mistrzostw Polski siatkarzy Bogdanka LUK Lublin - Aluron CMC Warta Zawiercie 1:3 (26:24, 20:25, 23:25, 20:25). Stan rywalizacji play off (do trzech zwycięstw) 2-2. Piąty, decydujący mecz w niedzielę o godz. 14.45 w Sosnowcu.

● Pomnik poświęcony Eddyemu Merckxowi, znajdującego się w brukuelskiej gminie Woluwe-Saint-Pierre, gdzie do-

rostał ten belgijski kolarz, został zniszczony. Z obelisku zerwano twarz pięciokrotnego zwycięzcy Tour de France - poinformowały lokalne władze.

● Hokeiści Anaheim Ducks pokonali na wyjeździe Vegas Golden Knights 3:1 i na 1-1 wyrównali stan rywalizacji do czterech zwycięstw w półfinale Konferencji Zachodniej ligi NHL. Na Wschodzie od zwycięstwa u siebie 4:2 nad Montreal Canadiens półfinał rozpoczęli Buffalo Sabres.

● Koszykarze New York Knicks ponownie pokonali u siebie Philadelphia 76ers 108:102 i w rywalizacji do czterech zwycięstw w półfinale Konferencji Wschodniej ligi NBA prowadzą 2-0. W barwach gospodarzy chwilę na boisku spędził Jeremy Sochan, ale nie zdobył punktów.

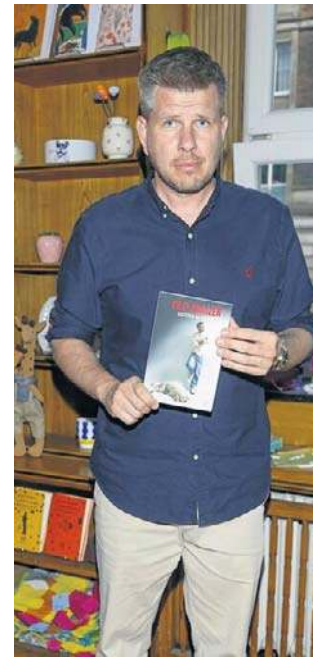
Filipa Chajzera pozostanie z martwych

Filip Chajzer był już na samym dnie, jednak od czasu zawierzenia swojego życia Bogu i Matce Boskiej, przekonuje, że stał się innym człowiekiem. Właśnie wydał książkę pod tytułem „Szczęście na kreskę”.

Jeszcze niedawno wydawać by się mogło, że Filip Chajzer popadnie w medialny niebyt i nic nie jest go w stanie uratować. Nie ma co kryć, celebryta był na samym dnie. Uzależniony i skłócony z byłymi partnerkami. Wszystko zmieniło się jednak w chwili, gdy Chajzer jr. nawrócił się i odnalazł w swym sercu Boga. Prezenter nie ukrywa, że gdyby nie wiara katolicka mogłoby go już z nami nie być. Chajzer doznał duchowej odnowy w 2024 r. w Toskanii, gdzie w małym, opuszczonym kościółku zawierzył swoje życie Bogu oraz Matce Boskiej. Od tej pory, ex-gwiazdor TVN-u w każdą niedzielę stawia się w kościele. Wszystko wskazuje również na to, że św. Rita, czyli patronka spraw niemożliwych zadziałała w sprawie Filipa. Szansę dał mu sam Edward Miszczak. Chajzer

wrócił do korzeni - jest miejskim fotoreporterem w polsatowskiej śniadaniówce. „Szczęście na kreskę” traktuje o uzależnieniu od endorfin i wychodzeniu z „długu” emocjonalnego.

- O co chodzi z tym tytułem - Szczęście na kreskę? Branie czegoś „na kreskę” oznacza tyle co kupowanie na kredyt, a zbieżność z linią usypanej kokainy, również zwaną potocznie „kreską”, złożyła mi się w głowie w dość spójną opowieść - mówi Filip Chajzer. - Bo ćpanie to branie na kredyt szczęścia z przyszłości. Zaciągasz dług endorfinowy, a narkotyki stają się podstępny bankierem, który pozwala przelewać środki z konta na konto. Każda wciągnięta krecha to następny przelew szczęścia. Trzeba je brać coraz częściej, bo chociaż długość wciąganej kreski jest taka sama, to drastycznie spada ilość tego, co za nią dostajesz. Przelewy szczęścia stają się coraz mniejsze. To błędne koło. A potem jeszcze pojawiają się lęki i psychoza. Bo ten bankier, który kusił cię dobrą zabawą, ma jeden cel - prędzej czy później cię wykończyć. (RT)



FOT. SYLVIA DĄBROWA

O czym Paweł Domagała rozmawia z córkami?

Paweł Domagała nie narzeka na nudę. Możemy go oglądać na małym i dużym ekranie. Nieustannie koncertuje i wydaje nowe utwory. Aktor nie dzieli się zbyt często nowinkami z życia prywatnego, ale w rozmowie z Telemagazynem powiedział, o czym rozmawia ze swoimi córkami - Hanią i Barbarą.

- Nie ma u nas tematów tabu i na wszystkie tematy, które są ważne i dotyczą ich życia i bezpieczeństwa, rozmawiamy - mówi muzyk i aktor. - Na pewno jest to temat, o którym można porozmawiać z dziećmi po obejrzeniu filmu, w którym porusza się problem zagrożeń w sieci. To jest ważny temat, zwłaszcza dla młodzieży, bo jesteśmy z pokolenia, gdzie to nas nie dotyczyło, jak byliśmy w ich wieku. Moje ukochane książki to są „Mały Książę”, „Opowieści z Narnii”. One są dużo bardziej realne niż reportaże, bo opowiadają nie o tym, że smoki istnieją, tylko opowiadają o tym, że smoki można pokonać. A to jest prawda, o której wydaje mi się, że często zapominamy. A tych smoków jest bardzo dużo. (RT)



FOT. ALEKSY WITWICKI



FOT. SYLVIA DĄBROWA

Kulesza w nowej „Lalce” zagra... bez imienia

Już 30 września 2026 roku do kin w całej Polsce zawita nowa wersja „Lalki”. Za reżyserię widowiska odpowiada Maciej Kawalski, a w obsadzie same gwiazdy: Marek Kondrat, Kamila Urzędowska, Marcin Dorociński. Jedną z gwiazd nowej filmowej „Lalki” jest Agata Kulesza, która wcieli się w panią Meliton. Aktorka zwróciła uwagę, że... po raz pierwszy od lat zagrała postać bez imienia! Ostatni raz taka sytuacja w jej przypadku miała miejsce wiele, wiele lat temu, gdy zagrała... w „Klanie”! Jaka będzie pani Meliton w interpretacji Agaty Kuleszy? Jej bohaterka będzie chciała odegrać się na arystokracji? Aktorka wyznała: - Z jednej strony tak (będzie chciała się odegrać - przyp. red.), ale z drugiej strony ona bardzo lubi Wokulskiego. Stanisław Wokulski może przy niej czuć się swobodnie, nie musi się wstydzic swoich czerwononych rąk. Myślę, że ona go rozśmiesza. (...) Pokazuje nam to, że Wokulski ma poczucie humoru i że potrafi różne rzeczy odpuszczać - powiedziała Telemagazynowi Agata Kulesza. (RT)

(RT)

Ach, ten Bolo... Zaskakuje, co robi dzisiaj

Daniel Dziorek to postać, której z pewnością nie trzeba przedstawiać widzom TVP. Urodzony w 1993 roku aktor zdobył ogólnopolską rozpoznawalność dzięki występom w pierwszych sezonach serialu „Rodzinka.pl”. Wcielił się on tam w drugoplanową postać Bolo, jednego z kolegów granego przez Macieja Musiała Tomka Boskiego. Po rozstaniu ze światem telewizji, Daniel Dziorek postanowił skupić się na swojej innej życiowej pasji, jaką jest sport. Został trenerem personalnym oraz zaczął prowadzić treningi boks i kickboxingu. Jak się okazuje, sztuki walki towarzyszyły mu, od kiedy był jeszcze małym chłopcem.

- Początkowo na boks chodziłem z tatą, później trenowałem w tajemnicy przed rodzicami - wyznał kilka lat temu w radiowej Czwórce.

Daniel Dziorek nie tylko zajął się trenowaniem, ale także sam zaczął występować na ringu na różnego rodzaju zawodach, o czym można przekonać się zaglądając na jego profile w mediach społecznościowych.

(RT)

FOT. ANNA KACZMARZ



Horoskop tygodnia

Baran



(21.03-19.04) To doskonały czas, aby skupić się na celach i zaplanować strategię na tydzień. Możesz skorzystać z dnia, by naładować baterie przed powrotem do pracy.

Byk



(20.04-22.05) To doskonały moment, aby spędzić czas z rodziną i przyjaciółmi. Może to być także dobry dzień na refleksję nad wartościami i priorytetami.

Bliźnięta



(23.05-21.06) Niedziela może być dla Ciebie czasem na odewnianie się od codziennych obowiązków i skupienie się na swoich zainteresowaniach.

Rak



(22.06-22.07) Skoncentruj się na dbaniu o swoje samopoczucie i dobrostan emocjonalny. To doskonały moment, aby zadbać o siebie i swoje potrzeby.

Lew



(23.07-23.08) Skorzystaj z tego dnia, aby zregenerować siły i przygotować się na nadchodzące wyzwania. Może to być także moment na rozwijanie pasji.

Panna



(24.08-22.09) Skup się na organizacji swojego życia i planowaniu przyszłych działań. To doskonały moment, aby uporządkować swoje sprawy.

Waga



(23.09-22.10) To doskonały moment, aby budować więzi rodzinne i przyjacielskie. Możesz także skorzystać z tego dnia, aby rozwijać swoje zainteresowania i pasje.

Skorpion



(23.10-21.11) Skoncentruj się na refleksji nad swoimi celami i ambicjami życiowymi. To doskonały moment, aby zastanowić się, czy podążasz właściwą ścieżką.

Strzelec



(22.11-21.12) To doskonały moment, aby zastanowić się, czy podążasz właściwą ścieżką, i podejmować działania mające na celu osiągnięcie swoich marzeń.

Koziorożec



(22.12-19.01) Niedziela może być dla Ciebie czasem na przygodę i eksplorację. Skorzystaj z tego dnia, aby odkrywać nowe miejsca i doświadczać nowych rzeczy.

Wodnik



(20.01-18.02) Skorzystaj z tego dnia, aby cieszyć się ich towarzystwem i budować więzi. Może to być także dobry moment na refleksję nad swoimi wartościami.

Ryby



(19.02-20.03) To doskonały moment, aby wyznaczyć sobie cele i planować działania mające na celu ich osiągnięcie. Rozwijaj duchowe i intuicyjne umiejętności.